

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

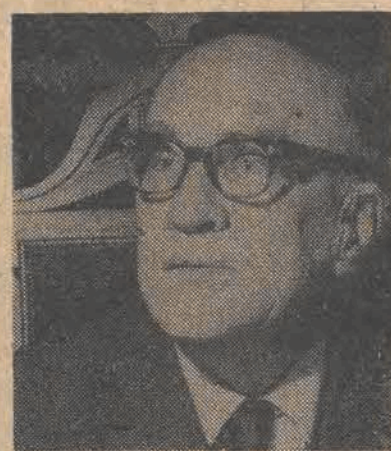


NR 10 (1161) ROK XXIII

9 MARCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

ZMARŁ PISARZ



Paniom
a przez to
i sobie
wszystkiego
najlepszego
życzy
męska część
„Odgłosów”

LITE RA TURA W SZKOLE

IANUSZ
MARCHEWA

Edukacja polonistyczna uczniów powszechnej szkoły średniej już za dwa lata wkróczy w etap w którym przyjdzie realizować zintegrowany materiał nauczania z zakresu kształcenia językowego, literackiego i kulturalnego. Skala trudności nowego programu nauczania języka polskiego w klasach IV-X przy utrzymaniu dotychczasowego, czteroletniego systemu kształcenia nauczycieli polonistów, stawia przed dydaktyką literatury szereg skomplikowanych problemów, od rozwiązania których zależą dalsze losy reformy polonistyki szkolnej. Dydaktycy literatury powinni więc w możliwie krótkim czasie zaproponować nauczycielowi polonistykę tylko takie modele pracy, które sprawdzone przez niego samego w praktyce szkolnej pozwolą mu osiągnąć pożądane cele kształcenia, określone wymaganiami programu. Ale zanim to nastąpi, naukowcy muszą w pierwszej kolejności uzgodnić stanowiska w kwestii autonomii celów nauczania i uczenia się literatury, bowiem wynikają one z akceptowanych przez poszczególne ośrodki naukowe i nauczycielskie teorii wywodzących się albo z literaturoznawstwa bądź też z pedagogiki.

U podstaw orientacji „literaturoznawczej” leży przekonanie, iż polonistyka szkolna jest integralną częścią nauki o literaturze, toteż podstawowym zadaniem nauczyciela powinno być ustawiczne adaptowanie wyników badań literaturoznawczych dla potrzeb kształcenia literackiego. Tak więc, upraszczając sprawę, na-

Dalszy ciąg na str. 10

CO ZŁE - TO WINA GOSPODARZA...

— Jak długo wykonuje pan swój zawód?
— Dziesięć lat.
— Dawniej określało się go takimi słowami jak: cieć, stróż, dozorca. Teraz, w oficjalnej nomenklaturze, awansował pan na gospodarza domu.
— Oświadczenie nie wiem dlaczego. Jeśli się mówiło: dozorca, to było jasne wszystko i zrozumiałe. Określenie to jest pozostałością po za-

Rozmowa z
**MARIANEM
NOWAKOWSKIM**
— gospodarzem
domów z ulicy
Kołodziejkiej

Dalszy ciąg na str. 3

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

RYSKIE SPACERY

Usłyszałem, jak bije serce ziemi...

Po rozległej polanie wśród sosnowych, niskopięnnych lasów hula wiatr. Kamienne postacie, rozrzucone daleko jedna od drugiej, są wyższe od drzew, ogromne, zastygłe w tragicznych pozach. Matka chroni swe dziecko przed ciosem; dziewczyna usiłuje zasłonić się bezbronnymi rękami; powalony żołnierz o strąskanych nogach próbuje ostatnim wysiłkiem dźwignąć się na rękach. Na granitowych płytach leżą zawieszane świeże kwiaty, a spod płyt dobiega głuchy, rytmiczny stukot. Gdy się tu chwilę postoi — własne serce dostraja się do tamtego spodu ziemi i bije gwałtownie — tak właśnie jak wtedy, kiedy się jest świadkiem rzeczy, budzących grozę.

To Salaspils, miejsce dawnego obozu śmierci, oddalone kilkanaście kilometrów od Rygi. Wielki kawał świata zdeptyła armia faszystów, zostawiając wszędzie ślady swej straszliwej

Dalszy ciąg na str. 12

KTO SIĘ NIE ODLI CZYŁ?...

Pułkownik powiedział:

— W poniedziałek przyjdzie do Łodzi porucznik Litwin, zwróćcie się do niego, on będzie organizował prasę.

Wyszedłem z pałacu Poznańskiego przy Ogrodowej z niemą otuchą, choć to spotkanie z pułkownikiem kosztowało mnie sporo emocji. Przecież gdy wszedłem do gabinetu pułkownika i spojrziałem w stronę okna, przed którym stało biurko, najpierw ujrzałem nie osobę, a automa ustawiony na nóżkach i skierowany prosto w drzwi. Dopiero gdy opuściłem zabytkowy gmach, w którym urzędował pełnomocnik, zdałem sobie sprawę, że właściwie wszystko jest w porządku. Wieczorem i w nocy raz po raz słyszeliśmy odgłosy wystrzałów karabinowych i rewolwerowych, czas był jeszcze bardzo niespokojny, w każdej chwili mogłeś spotkać się z kimś, kto miał do ciebie pretensję za to, że chcesz w ogóle coś robić a nie walczyć z nowym porządkiem. Część tych walczących kręciła się po mieście, część schodziła w podziemie, do lasu, zasilała już utworzone oddziały i bandy, bądź też tworząc nowe.

W każdym razie zapowiedziane spotkanie z lubelskim wysłannikiem do spraw prasy w Łodzi rodziło pewne nadzieje. Po przeszło pięciu latach oddalenia od zawodu powstała perspektywa powrotu do niego. Przyszło nas wtedy na Piotrkowską 86 kilka osób, dziennikarzy, zjawiała się większa grupa zecerów. Niektórzy z tych ostatnich zmuszeni byli pracować w okupacyjnej drukarni, gdzie wydawano „Litzmannstädter Zeitung”. Inni — dopiero co przyjechali do Łodzi szukając zajęcia. Por. Litwin wygłosił wtedy przemówienie z którego wynikało, że — jakbyśmy nie byli tego pewni — gazety w Łodzi będą się ukazywać, że ten ustrój, który teraz mamy, to Polska Ludowa. Zachęcił do pracy dla Polski Ludowej, i już trzeciego dnia ukazała się „Wolna Łódź”, po niej „Dziennik Łódzki”, potem „Głos Robotniczy”, a wychodzące początkowo w Łodzi pisma centralne — „Głos Ludu” i „Rzeczpospolita” — przeniosły się do Warszawy.

Z dnia na dzień zwiększało się środowisko dziennikarskie miasta koledzy wracali z zapadłych wsi, w których przetrwali okupację, z Niemiec, gdzie przebywali na robotach przymu-

FELIKS BĄBOL

sowych, bądź w obozach, przyjeżdżali ze Związku Radzieckiego. Pierwsze dni i miesiące dalekie jednak były jeszcze od jakiejś takiej stabilizacji. W mieście działał nadal komendant wojenny obok pierwszych załóg władz cywilnych radość wyzwolenia mieszała się z nastrojem pożegnania i rozstania z tymi, którzy szli na Berlin, tworzyli się komisariaty MO, urzędowało na 19 Stycznia Bezpieczeństwo, ale nadal tu i ówdzie zdarzały się samosady nad przychwyconymi zdrajcami. W sadzie przy placu Dąbrowskiego rozpoczynały się procesy z dekretem PKWN, toczące się w sali nr 1 na pierwszym piętrze, a na innych piętrach i salach — procesy rehabilitacyjne volksdeutschen doprowadzonych tu z obozu przejściowego na Sikawie, bądź zgłaszających się dobrowolnie.

Dalszy ciąg na str. 4, 5, 6

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



„Wszystko przemija. Na tym polega nasza funkcja, że zatrzymujemy te przemijające momenty”. Te słowa o zadaniach pisarstwa wypowiedział Jarosław Iwaszkiewicz przy okazji filmowej realizacji jego „Panien z Wilka”.

Mówił o tym ze smutkiem, z zadumą, ale bez rozpacz. Było w tych słowach filozoficzne pogodzenie, ale też i cień nadziei, że przemija jednak nie wszystko. Ze pozostaje twórczość, odkładająca swoje w drzewie historii, że pozostaje z nią pamięć.

Nie sposób się oprzeć refleksji, że wraz z Jarosławem Iwaszkiewiczem zamyka się jedna z kart dziejów polskiej literatury, odchodzi epoka pisarstwa — powołania. Literatura była dla Niego treścią życia, sposobem istnienia. Debiutował w roku 1915 wierszem opublikowanym w wychodzącym w Kijowie czasopiśmie „Pióro”; debiutem książkowym były „Oktostychy” wydane w roku 1919. O potęgę Jego twórczej woli i pasji świadczy 80 tomów poezji, powieści, zbiorów opowiadań, dramatów, esejów, szkiców.

Chciałoby się mieć nadzieję, że karta ta nie została zamknięta na zawsze, że bujność życia, jaką zawiera, głębła myśl, pełnia człowieczych uczuć, ciążą będzie niepokoje następów, budzić w nich rezonans.

Ze nie jest to nadzieja bezzasadna, świadczyć mogą choćby ciągłe usiłowania przełożenia Jego pisarstwa na język sztuki, wyrosłej w innej epoce — sztuki obrazu. „Matka Joanna od Aniołów”, „Brzezina”, „Panny z Wilka” — dzieła filmowe, wysnute z myśli Jarosława Iwaszkiewicza, mówią o tym, że humanistyczne posłanie twórczości jest czynnikiem włączającym myśl artystów różnych epok, pozwalającym przekraczać granice różnych rodzajów sztuki. Ze opozycja słowo-obraz, tak niepokojąca naszą epokę, może wyrastać tylko w umysłach pozabawionych wyobraźni.

Był Jarosław Iwaszkiewicz człowiekiem, który potrafił nie tylko tworzyć, ale i żyć — tak, że poprzez swoje życie oddając siebie innym. Z licznych funkcji społecznych jakie pełnił, wypada wspomnieć najważniejsze — te, które pełnił w polskim i światowym ruchu obrońców pokoju. Spotkało Go wiele zaszczytów — otrzymał Nagrodę Leninowską „Za utrwalenie pokoju między narodami”, Złoty Medal im. Fryderyka Joliot-Curie przyznany mu przez Prezydium Światowej Rady Pokoju oraz Order Budowniczych Polski Ludowej.

Zapisał się na trwałe w pamięci naszej i przyszłych pokoleń.

Woda, zielona i głęboka,
Powoli mi zalewa usta,
I świat ogromny, świat szeroki
Posoką w ustach moich chłusta

Przecież mi przez słabe dłonie,
Ucieka — ach, niedotykany,
I ręka, która za nim goni,
Zastyga w gest na pół błagany.

O ziemio — wodo! Wszystko inne
Wydaje się nierzeczywiste —
I przez zielone tafle płynne
Przebliska światło wiekiste.

(Z „Lata 1932”)



Foto: A. Wach

LAUREACI NAGRÓD M. ŁODZI

Kreacje artystyczne Władysława Malczewskiego — tegorocznych laureatów Nagrody Miasta Łodzi, budzą zawsze największe uznanie. Zapowiedź, iż wystąpi on w spektaklu, w odczuciu większości widzów podnosi rangę przedstawienia. Udział tego artysty w każdej przygotowywanej przez Teatr Wielki inscenizacji operowej stanowi dla nas wszystkich jedną z najpoważniejszych gwarancji jej wysokiego poziomu. Wieleletnia już obecność na polskich scenach operowych tego wybitnego śpiewaka zaskarbiła mu pełne szacunku uznanie krytyki i wyjątkową zgoda sympatii publiczności. Oczywiście jest

także fakt, iż w tym roku władze naszego miasta przyznały ją kilku artystom spod znaku Polihymni. Jest to dla nas ogromnie satysfakcjonujący dowód i miara znaczenia tej pięknej sztuki — we współczesnym życiu. Mnie zaś dodatkowo raduje fakt, iż otrzymałem tę Nagrodę Miasta Łodzi mimo — że nie jestem łodzianinem. Może jednak tymi moimi siedemnastoletnimi już związkami z miastem wdzięczny i usilną pracą zasłużyłem na jego miasto.

— Przyjechał pan do Łodzi w 1963 roku.
— Tak, moim łódzkim debiutem były „Pajace” Leoncavalla.



„Człowiek czuje się wtedy trochę jak lepiący z gliny Bóg-Stwórca”.

Foto: R. Łucyszyn

„JA PO PROSTU UCZCIWIE PRACUJĘ...”

rzecz, że nie sam tylko fakt obecności zjednął Władysławowi Malczewskiemu, te rzesze wielbicieli wypełniających sale operowe na każdym przedstawieniu z jego udziałem. Wybitny artysta zaskarbił je sobie pełnią artystycznego wyrazu, którą, wspierając dany mu przez naturę talent, sprawia, iż każda z kreowanych przez niego ról urzeka tym, co w sztuce teatralnej i operowej decyduje o jej wartości — najsłabszą ludzka prawda.

Nagroda Miasta Łodzi, przyznana Władysławowi Malczewskiemu wydaje się być szczególnie zasłużona. Laureat mówi o niej z nieskrywaną satysfakcją, cieszy się z jej otrzymania, ale z jego słów w krótkiej rozmowie, na jaką w nawale swych zajęć zgodził się dla czytelników „Odgłosów”, wynika, że przyjął ją jako wyraz uznania władz naszego miasta nie dla jego osoby, ale dla sprawy, owego artystycznego posłannictwa, które — jak sam mówi — stara się wypełniać najlepiej jak potrafi, jak pozwalają mu na to wszystkie służące temu cechy jego osobowości.

— Ja, po prostu, uczciwie pracuję. Mam obowiązki wobec społeczeństwa, wobec widzów, miłośników uprawianej przeze mnie sztuki. Nie mogę poszczycić się faktem, iż zbudowałem osiedle, uruchomiłem elektrownię, zaprojektowałem potrzebny ludzkości wiatrak. Można więc postawić mi zarzut, że do naszego szybko biegnącego życia nie wnoszę niczego nowego, żadnych konkretnych, wymiernych, materialnych wartości. Wydaje mi się jednak, że także i przede mną stoją zadania niemal produkcyjne, że realizując je, mam swój skromny udział w tym wszystkim, co dzieje się wokół nas. Ci uspaniali ludzie, konstruktorzy, autorzy zdumiewających wynalazków, muszą przecież znajdować gdzieś miejsce wyładowania, a może także jakiegoś duchowego źródła inspiracji. Potrzeba im wzruszeń i emocjonalnych przeżyć, a czasem po prostu chwil zadumy lub szlachetnej rozrywki. Może stąd właśnie czerpią swe sily, inwencję i chęć do dalszej, efektywnej pracy, z tej właśnie sfery duchowej, owego niematerialnego kręgu doznań, które są naszym dziełem. Jeśli w zaspokojeniu potrzeb ludzkiego ducha mogę w najmniejszym choćby stopniu być pomocny, jeśli, być może, mogę tego ducha w jakiś sposób kształtować, kierować jego reakcjami i te jego potrzeby dalszego rozwoju rozbudowywać, to w tym właśnie widzę swoje zadanie. Widać — czasem udaje mi się je realizować. Nagrodę Miasta Łodzi traktuję jako potwierdzenie słuszności obranej przeze mnie drogi. Cieszy mnie

— „Prawdziwy” pana debiut odbył się...
— „W wyzwoleńcu” przez Armie Radziecką Lwowie. W 1944 roku wystąpiłem w partii Janusza w montażuowskiej „Halce”. Przygotowywałem do tego debiutu nie żyjący już profesor Kaczmarski, który także i później, gdy po kilkunastoletniej przerwie wrócił do teatru operowego w Krakowie, zajmował się kształceniem mego głosu. Wiele mu zawdzięczam i do dziś staram się być posłusznym jego zaleceniom i wskazówkom. W Krakowie pierwszą moją rolą był Oniegin w operze Czajkowskiego.

— Przyjechał pan do Łodzi prosto z Krakowa? — Nie, przedtem śpiewałem jeszcze w Poznaniu i w Gdańsku. Łódź skusiła mnie w 1963 r. nie tylko wizją budującego się nowego gmachu, ale przede wszystkim życzliwą dla sztuki operowej atmosferą, niestękaną sprzyjającym klimatem, który pozwolił mi na pełny rozwój i stworzenie wielu ról będących moją obrymą satysfakcją.

— Wszyscy podziwiamy pana kreacje artystyczne. Cechuje je nie tylko mistrzostwo wokalne ale i znakomita interpretacja aktorska. Jerzy Waldorff pisał, iż w „Otelu” był pan wokalnie „ponad wszelkie pochwały”, a aktorsko tak świetny, że pański Jago „mógł grać w samym Szekspirze, bez Verdiego”. Jak pracuje pan nad rolą? Która z jej stron wydaje się panu szczególnie ważna?

— Recenzja Waldorffa, znanego przecież z powściągliwości w chwalebnym i niezwyklej cę-

tości pióra, była dla mnie rzeczywiście bardzo pochlebna. Jago zaś jest moją ulubioną partią. Cenię ją właśnie dla trudności, jaką niesie ta postać, dla jej złożoności psychicznej, będącej prawdziwym labiryntem ludzkich namiętności. Zazdrość Otelii jest uczuciem prostym, jest nie kontrolowaną reakcją organizmu. Zawiść Jagona wymaga zaangażowania intelektu, opanowania, wewnętrznej dyscypliny i kontroli. Szekspir stworzył w jego postaci arcydzieło, absolut zawiści — przyznajmy — trudny jednak do przekazania teatralnymi środkami. Verdi dorównał — jak sądzę — pierwowzorowi literackiemu. Jeśli więc sposób wykonania przeze mnie tej trudnej roli zdobył uznanie publiczności i krytyki, to jest ono dla mnie źródłem największej satysfakcji. Może rzeczywiście udało mi się w jakiś sposób „złapać” tę postać, przeżyć ją. Powiem pani, ale to już niemal na marginesie „sprawy Jagona”, że miałem — szczerze premier „Otelii”. Śpiewałem w inscenizacji w Poznaniu, Bytomiu, Gdańsku, Lubecie, Warszawie i Łodzi. Wracając jednak do podstawowego pytania o sposób pracy nad rolą, odpowiem, że pracuję jednocześnie zarówno nad jej wokalnym, jak i aktorskim kształtem. Warstwa wokalna jest dla mnie zawsze przede wszystkim sposobem wyrażenia treści, jakie niesie kreowana przeze mnie postać. Nie mógłbym tych treści wyrazić wokalnie dobrze, bez ich wnikliwej analizy i najgłębszego, na jakie mnie stać, zrozumienia. W pełni opanowany warsztat wokalny jest dla tego celu środkiem podstawowym i warunkiem absolutnie koniecznym. Wszystko razem zaś wymaga przede wszystkim pracy. Odrzucam więc w jej wykonywaniu nigdy nie szczędzę sił, ale czynię to z radością, bo wszystkie trudności podejmuję dla umiłowanego zawodu. Jestem szczęśliwy, że mogę go wykonywać, że robię to, co lubię.

— Pana zawód wymaga wielu wyrzeczeń.
— To sprawa organizacji własnych działań. Nigdy nie rezygnowałem z żadnej z dostępnych mi przyjemności. Artysta powinien żyć tak, jak

każdy człowiek. Nie jest przecież nikim innym. Jeśli cokolwiek nas wyróżnia, to może jakiś szczególny rodzaj wrażliwości. Ale ona, proszę mi wierzyć, nie wymaga żadnych rezygnacji. Sądzę pani, że dla dobra swego głosu nie powinienem jeść lodów, albo zaprzestać mojego ukochanego wędkowania tylko dlatego, że się przeziebię? Nigdy z niczego nie rezygnuję, niczego się nie wyrzekam. Jeśli zrezygnowałem z tego, co koledzy nazywają „światową karierą”, z propozycji wyjazdu na stałe do wielkich światowych teatrów, to właśnie dlatego, że wymagałoby to rezygnacji z normalnego życia, z pracy w normalnym rytmie, z przyzwyczajenia, z kontaktów ze starymi przyjaciółmi, z urlopów z wędką, z pełni życia. Każdy pobyt za granicą, który trwa dłużej niż miesiąc, jest już dla mnie trudny do zniesienia. Śpiewam więc w Łodzi i z tego czerpię największe satysfakcje.

— Jest pan wykładowcą w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej. Czy i ta praca dostarcza panu satysfakcji?

— Po trzykroć — tak! Jest to praca naprawdę twórcza i satysfakcja są twórcze. To wielka radość móc patrzeć, jak rozwijają się młode talenty i kierować tym rozwojem. Człowiek czuje się wtedy trochę jak lepiący z gliny Bóg-Stwórca, a nasze — pedagogów — dzieło, niejednokrotnie zaskakuje nas jeśli jeszcze nie doskonałością, to zawsze obrymymi, tkwiącymi w nich możliwościami. Ciesze się, że mogę je rozwijać. Młodość to taka uspaniała rzecz. Moi uczniowie są dla mnie jej przedłużeniem. Niech to, czego nam nie udało się dokonać, bądź też czego nie robiliśmy, zdołają zrobić młodzi. Czas nieubłaganie biegnie naprzód.

— Za chwile wchodzi pan na scenę. Życzymy dalszych sukcesów i raz jeszcze gratulujemy nagrody.

— Dziękuję za życzenia i gratulacje.

Rozmawiała: EWA PANKIEWICZ

AKTUALNOŚCI

Zakładowy Dom Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju przy ul. M. In. Koła Młodzieży przy Oddziale Łódzkim ZLP ogłasza Turniej jednego wiersza o Laur Stanisława Czerownika.

Turniej będzie miał charakter cykliczny (wiosna, jesień, zima). Można do niego zgłaszać utwory, które do tej pory nie były nigdzie publikowane i nagradzane w konkursach literackich. Wiersze na I Turniej należy nadsyłać w 2 egzemplarzach maszynopisu do dnia 20 marca br. pod adresem: Zakładowy Dom Kultury ŁZPB, im. Obrońców Pokoju.

TURNIEJ O LAUR STANISŁAWA CZEROWNIKA

Pokoju, 90-333 Łódź, Przedzainalana 66, z dopiskiem na kopercie: „Turniej jednego wiersza”. Do prac należy dołączyć imię i nazwisko oraz dokładny adres autora.

Oceny nadesłanych prac oraz rozdanie nagród i wyróżnień dokona jury złożone z poetów, krytyków i przedstawicieli organizatorów.

Ogłoszenie wyników I Turnieju oraz wręczenie nagród odbędzie się 28 marca br. w kawiarni Zakładowego Domu Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju (adres jak wyżej) o godzinie 18.00.

„RUBINOWA HORTENSJA”

Po raz jedenasty organizowany jest w działach poezji i prozy konkurs literacki o „Rubinową Hortensję”.

Celem konkursu jest popularyzacja młodej literatury współczesnej, współuczestniczącej w tworzeniu kultury socjalistycznej i zaangażowanej w kształtowanie postaw społecznych i patriotycznych.

Warunkiem udziału jest nadesłanie nie publikowanych dotąd prac poetyckich lub prozatorskich pod adresem: Zarząd Wojewódzki ZSMP, 97-300 Piotrków Trybunalski, al. B. Bieruta 4 w nieprzekraczalnym terminie do dnia 31 marca br.

Każdy uczestnik konkursu w dziale poezji winien nadesłać po 3 utwory w 6 egzemplarzach maszynopisu, a w dziale prozy — w 3 egzemplarzach.

Osoby, które nie publikowały dotąd w ogóle swoich tekstów i nie brały udziału w żadnym konkursie literackim, powinny dopisać zarówno na każdym egzemplarzu, jak i na kopercie, „DEBIUT”. Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą wewnątrz imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Jury przyzna nagrody w każdym z działów.

W dziale poezji: I nagroda — puchar „RUBINOWEJ HORTENSJI” oraz 8.000 zł; II — 6.000 zł; III — 4.000 zł oraz dwa wyróżnienia po 1.000 zł.

Analogicznie nagrody i wyróżnienia przewiduje się w dziale prozy. Przewiduje się również wyróżnienia po 1.000 zł za najlepsze debiuty.

Sąd konkursowy zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Dodatkowych informacji udziela: Zarząd Wojewódzki ZSMP w Piotrkowie Trybunalskim, tel. 65-41 lub 72-41 do 5 oraz redakcja „Tygodnika Piotrkowskiego”, tel. 32-77 lub 55-66.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MALGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KEPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

borze rosyjskim, a wtedy pełnię się dozor. I to było trafne słowo. A gospodarz, tak myślę, to ktoś, kto jest właścicielem budynku, a ja przecież jestem tu po to aby budynki utrzymać w czystości i porządku. O, dla przykładu weźmy niemiecką nazwę: hausmeister. Ale oni przeszli na samoobstugę.

— Co to znaczy?
— No, na ten przykład u nas jest tak na Radogoszczu, czy na Zgierskiej-Stefana. Tam nie ma gospodarza. Tam sprzątają sami lokatorzy. Po kolei. W styczniu właśnie minęło dwa lata jak robią sami.

— Z jakim wynikiem?
— Podobno jest o wiele lepiej niż gdyby mieli swojego dozorcę.

— Za ile bloków mieszkalnych pan odpowiada?

— Za dwa: Kołodziejska 214 i 215.

— A co należy do pańskich obowiązków? W większości przypadków mieszkańcy domów nie wiedzą, czy gospodarz ma tylko sprzątać na korytarzach i wystawiać pojemniki na śmieci, czy też dbać o to, by sprawnie działały windy, a w nocy na korytarzach paliło się światło.

— Ja muszę utrzymać tak zwane minimum sanitarne. Do tego odpowiadam za zieleń przy blokach, szczególnie za różę.

— Dużo tych róż?

— Siedemset krzewów.

— A co administracja „Lokator” rozumie pod pojęciem „minimum sanitarnego”?

— Muszę raz w miesiącu umyć okna, korytarze oraz obmotać wewnętrzny budynek tyle razy, ile potrzeba, a do tego utrzymuję porządek w piwnicach i dookoła budynku.

— Sądzę więc, iż pańskie uposażenie musi być odpowiednio wysokie.

— Uśmieję się pan: raptem 900 złotych!

— Więc jaki miał pan w tym interes, by przyjść na gospodarza domów? Przecież w każdej innej instytucji, wykonując najblaszszą pracę, otrzymałby pan dużo więcej.

— Zgoda, ale ja kierowałem się mieszkaniem. W inny sposób nie otrzymałbym przydziału, choć muszę powiedzieć, że przez 20 lat pracowałem na budowach. W końcu rzuciłem budowlany, bo na starość trzeba pożyć jak człowiek.

— Od budowlanych przyszedł pan tu?

— Nie od razu. Jakiś czas robiłem u „Harnamie”, potem w elektrociepłowni na Wróblewskiego. Ale jakoś nie mogłem uzbierać na wkład mieszkaniowy. Więc mówię do żony — ona jest na rencie — przecież żadna praca nie jest hańbą, a być dozorcą nie jest wstyd. Patrz, mówię, córka chodzi do szkoły, ty nie pracujesz, a z mojej jednej pensji niczego nie odłożymy. No i poszedłem do spółdzielni.

— Przyjęli od razu?

— Co mieli nie przyjąć? Wtedy oddawano blok za blokiem.

— A gdyby pan teraz zrezygnował z tej pracy?

— Myśli pan, że mnie wyrzucą? Nie, ja wkład splotem. Spółdzielnia przez te wszystkie lata potrącała mi po 200 złotych miesięcznie i dziś mam u nich czyste konto.

— No dobrze, ale powiedzmy, że pan rezygnuje i co dalej? Dom bez gospodarza?

— Administracja z tym się liczy. No bo niech ja przejdę na rentę, czy dajmy na to potrąci mnie samochód, to oni muszą mieć tu człowieka. Czy pan wyobraża sobie co by się działo w takim bloku, gdyby przez parę dni nie było w nim dozorcę? Wystarczy przez tydzień nie wyrzucić śmieci, a ludzie będą się dusić od smrodu.

— Nowemu dozorcę trzeba dać mieszkanie.

— To, w którym mieszkam, to niby taka służbówka. Ale chcąc mnie z niej usunąć, trzeba mi dać inne, bo już jestem, od czasu spłacenia kredytu, członkiem spółdzielni mieszkaniowej.

— Jak się pan tu przyjął? Ludzie mieszkający w tych dwóch blokach spotykają się ze

sobą rzadko, natomiast z panem prawie codziennie. Zresztą jest pan tu dość popularny, znają pana na całej ulicy, we wszystkich blokach i domach. Jacy są lokatorzy?

— Niech pan obejrzy rabatki z różami na których jest pełno petów, reszek jedzenia, papierów. Podobnie na trawnikach, chodnikach, na ulicy. Ludzie, proszę pana, choć mają zsyppu na korytarzach, popielniczki opróżniają przez okna. A same zsyppy? Nieraz ledwo posprzątam, umyję posadzki — już pełno śmieci, szkła, rozlane są jakieś zupy czy zlewki. Więc nieraz chodzę, zbieram, ścieram i klnę.

Przez osiem lat, które tu mieszkamy, ci ludzie nadal są sobie obcy. Owszem, niektórzy już się poznali, szczególnie samochodziarze. Ale brudzą wszyscy jednakowo: tak ci z wyższym wykształceniem, jak i ci ze szkołą podstawową. Bo ja wyczuwam, że oni ciągle traktują blok jak coś obcego, nie mogą się zżyć z jego wielkością, ze wspólnotą wind, zsyppów, pionów, pralni itp. Stąd zanieczyszczanie wind, kradzieże żarówek, odkręcanie listewek, tłuczenie szyb. W naszych blokach co drugi to magister, reszta ze średnim wykształceniem, a tych z niższym, to bym policzył na palcach. Ale czasem w żaden sposób nie mogę ich rozróżnić: niektórzy zachowują się jakby wyszli z lasu. Samych żarówek wkładam 50 sztuk miesięcznie.

— A dzieci? Czy z nimi są kłopoty?

— Jak to dzieci, choć ja ich nie winię. Kiedy budowano nasze bloki, nikt nie przewidział, że mogą w nich rodzić się i wychowywać dzieci. Dlatego nie wybudowano odpowiednich placów zabaw czy boisk. No to ja się pytam, gdzie te dzieci mają się bawić? Biegają wokół bloków, niszczą trawę, krzewy, śmieci. Ktoś nie pomyślał przy wybudowaniu między blokami piaskownicy, zapominając, że taka wąska przestrzeń działa na zasadzie komina: wiatr tam jest taki, że nie zawsze można tam przebywać, a do tego ta piaskownica jest tuż pod oknami.

jest pan, gospodarz domów, którego za porządek panujący na ulicy rozlicza administracja i władze sanitarne. Do tego samochodu...

— Samochody, to odrębna sprawa. Kiedyś tu przyszli, było ich raptem pięć, teraz jest ponad setka. Jest coraz ciśnień, coraz gorzej, coraz brudniej. Ale u nas nie ma gdzie parkować. Po drugiej stronie, od ulicy Nowo-Zeromskiego, której jeszcze nie ma, nikt nie chce, bo jak tylko spadnie deszcz, albo są roztopy, to żaden samochód tam nie wjedzie. Po drugiej, jest tam ciemno i zdarzają się wypadki wlatujących do samochodów, lub uszkodzenia karoserii.

— Wracając do drewniaków z naprzeciwnika. Płynące wzdłuż ulicy pomyje i nieczystości nie tylko cuchną, ale są, szczególnie latem, wylegarnią much.

— Zimą zaś tworzą się góry lodowe, co wcale nie dodaje uroku.

— A proszę powiedzieć, jakie materiały służące do utrzymania porządku, otrzymuje pan z administracji?

— Proszki, miotły, lizol, szpadle.

— To przydział na rok czy na miesiąc?

— Miotel dostają dużo, proszków dwa miesięcznie na jeden blok.

— Zaraz, policzmy: samych korytarzy jest 720 m kw. do tego schody i piwnice, czyli w sumie jest to 900 m kw. powierzchni. Nie uważa pan, że to trochę za skromny przydział?

— Bo ja wiem? Jak nie ma proszku, to dostają lizol albo „FF”.

— A jak układa się współpraca z administracją?

— Raczej dobrze. Otrzymuję od nich buty gumowe, gumowo-filcowe, kombinezon roboczy, kufajkę, beret, rękawice, a jeśli wywiązuje się ze swoich obowiązków, to nawet otrzymuję specjalny 700 złotowy dodatek premijowy.

— Czy były na pana skargi?

— Jedna. Z bloku 214 poszła delegacja do

CO ZŁE-TO WINA GOSPODARZA...

Więc ci, co mieszkają na parterze buntują się, bo przez cały dzień słyszą tylko krzyki dzieciaków. Owszem, do niedawna był porządekny plac, boisko po zlikwidowanej szkole nr 168, ale przejęło to harcerstwo i w tej chwili stawią tam garaże.

— Ulica Kołodziejska jest uliczką krótką, niecałe 100 metrów. Stoją na niej 4 wieżowce i kilka starych chałup. Są to dwa światy: nowoczesność i przeszłość. Z jednej strony centralne ogrzewanie, gaz, woda ciepła i zimna, zsyppu na śmieci, ogrzewane piwnice, a z drugiej piece węglowe, sławki na podwórkach, woda z ulicznego hydrantu, wylewanie nieczystości na jezdnię. Między tymi światami

administracji z zażaleniem, że w piwnicy lokatorzy urządzili sobie warsztat naprawy silników samochodowych, że silniki te są myte benzyną, że stoją tam różne smary. A ludzie w piwnicy trzymają ziemniaki, owoce i warzywa. No tośmy zlikwidowali. Został tylko farbanek.

— Co to takiego?

— Po naszymu imadło.

— A pańskie kłopoty osobiste z lokatorami?

— Nie mam takich, jeśli nie liczyć tego, co mówiłem już o czystości.

— Proszę pana, dla załatwienia spraw mieszkańców zostały powołane komitety blokowe. Jak układa się pańska współpraca z tymi społecznikami?

— W teorii to one są, ale w praktyce ich nie ma. Powstawały one wtedy, gdy bloki były zasiedlane, a potem nikt o nich więcej nie słyszał.

— O ile sobie przypominam, taki komitet reprezentujący mieszkańców i ma prawo występować w imieniu tych 77 rodzin zamieszkujących każdy wieżowiec. Może zgłaszać wnioski i postulaty nie tylko do administracji, ale i do samorządu osiedlowego.

— U nas coś takiego nie istnieje. Na początku wpłaciliśmy po 300 zł na zieleńce wokół bloków. Kto chciał, mógł te pieniądze odzyskać, jeśli przepracował ileś tam godzin przy sadzeniu trawy lub krzewów. Ale, jak pamiętam, nikt do takiej pracy się nie zgłosił, bo uważał, że lepiej zapłacić niż samemu pracować. Myślę, że nasze komitety blokowe przegapiły wówczas wielką sprawę, gdyż wspólna praca mogłaby być początkiem wspólnych przedsięwzięć w przyszłości.

— Jeśli dobrze rozumiem, to mieszkańcy nie włączają się do żadnych prac społecznych?

— Do żadnych.

— A czy wie pan coś o samorządzie osiedlowym?

— Coś tam słyszałem. Z tym, proszę pana, jest jak z UFO: wszyscy o tym słyszeli, tylko nikt tego nie widział. Ja z czymś takim się nie spotkałem.

— Samorząd osiedla składa się z członków poszczególnych komitetów blokowych. Może jednak ktoś z naszej ulicy należy do takiego samorządu?

— Gdyby tak było, wiedziałbym na pewno.

— A pańskim zdaniem, taki samorząd jest potrzebny czy nie?

— Uważam, że tak, bo są sprawy dotyczące nie tylko jednej ulicy.

— Czasem jedna ulica staje się nagłe problemem, który musi rozwiązywać sąd. Przecież



„Brudzą wszyscy jednakowo: tak ci z wyższym wykształceniem, jak i ci ze szkołą podstawową.”
Foto: R. Łucyszyn

w tej chwili toczy się proces, w którym pozwany jest dzielnicowy wydział drogowy, a pozw wplynął od jednego z mieszkańców naszej ulicy, który na wybojach uszkodził swój samochód.

— Tak, ale tam nie mogą dojść kto jest winien za to, że ulica Kołodziejska w jednym końcu została pozbawiona asfaltu.

— Gdyby istniał sprawnie działający komitet osiedlowy, myślę, że ulica miałaby od dawna twardą, dobrą nawierzchnię i nikt nie pisałby pozwu do sądu.

— Na pewno taki samorząd stanowiłby siłę, ale jak już mówiłem, nie słyszałem, aby taki u nas był. Wiem, że na Dołach, na Berka Joselewicza były takie komitety i ludzie czuli się tam współwłaścicielami bloków, ale u nas nie było nic takiego ani 8 lat temu, kiedyś się tu sprawdził, ani nie ma dziś. A co złe — to wina gospodarza domu. Wszyscy na mnie, a nikt nie chce pomóc. Ot, zdarza się, że widzę jak przez świeżo zasadzone krzewy leżą jakieś ciemniaki, no, diabli z nim, wiadomo — brak kultury, ale tak robią ludzie wykształceni, u których na drzwiach są wypisane tytuły naukowe. I co? Taki mnie posłucha? Jeszcze mi naubliża. Gdyby jednak był taki komitet, może z nimi chciałby taki pan rozmawiać.

— Więc co robić?

— Machnąć ręką na te różne komitety. To nie ma. U nas, na Kołodziejskiej największą zmagają się te stare drewniaki i nieczystości wylewane z tych domów na ulicę. Na okragło palą w piecach węglowych, sadze nie pozwalają w-blokach otworzyć okien, a do tego smród z ich sławek i z tych nieczystości wylewanych na jezdnię. Ale tego, myślę, nie rozwiąże nawet nasza administracja. Jak pan widzi, problemowy jest spór, nie ma tylko ludzi do roboty. Każdy mówi, że jak płaci komarne, to o resztę niech martwi się ktoś inny.

— Sądzi pan, że gdyby znalazła się grupa społeczników, wówczas na Kołodziejskiej wszystko uległoby zmianie na lepsze?

— Oczywiście: mieliśmyby dobre parkingi, placiki zabaw dla dzieci, więcej zieleni. Na dobrą sprawę można u zbiegu Łutomińskiej i Modrej, na tym grzędzawisku, położyć płyty lotniskowe, nawieźć ziemi i przynajmniej dla dwóch, trzech bloków urządzić dobry parking. Tylko, że ze mną nikt na ten temat nie będzie chciał rozmawiać, natomiast gdyby do administracji poszli przedstawiciele domów...

— A czy te mankamenty, o których mówimy, nie wypływają z faktu, że my w swoich blokach, mimo wielu lat wspólnego zamieszkiwania, wcale się nie znamy?

— Może tak, a może i nie. Żaden blok nie stanowi rodziny, to fakt. Każdy sobie, jeden mądrzejszy od drugiego. Brak poczucia odpowiedzialności za ład i piękno wokół budynków. Najczęściej, to jest tak, że wolają: panie Nowakowski, ktoś wyrzucił papier pod moje okno, niech pan to sprzątnie...



Bywa i tak...

Foto: W. Parys

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Kilku moim znajomym zadałam pytanie:

— Co robi samorząd w twoim osiedlu?

— Uzyskałam następujące odpowiedzi:

— A jest coś takiego?

— U nas samorząd zabronił parkowania samochodów w osiedlu. Teraz musimy parkować z dala od domu. Na osiedlowym parkingu.

— Nie wiem, co robi, ale mój sąsiad tam działa.

— Uważają się z administracją, ale to nie nie pomaga.

— Styszałem, że są samorządy, ale na naszym osiedlu to chyba nie ma.

— Zrobili ładny plac zabaw dla dzieci. I może coś jeszcze.

Na podstawie tych odpowiedzi można dojść do przekonania, że na ogół mało wiemy, co robi samorząd mieszkańców. I to przekonanie nie odbiega chyba daleko od prawdy. A samorząd mieszkańców ma działać w naszym interesie, reprezentuje nasze interesy wobec różnych instytucji. Jest to jakby najniższe, najbardziej dostępne wszystkim ogniwo ludowładztwa.

W 1973 roku Biuro Polityczne KC PZPR podjęło uchwałę, w której określone zostały cele i zadania samorządów mieszkańców. W uchwale tej powiedziano:

Integrację działalności mieszkańców i niedostatecznie obecnie skoordynowanej pracy ognia organizacji społecznych w osiedlach powołano zapewnić samorząd mieszkańców, który zgodnie z uchwałą V Zjazdu jest jednym z ważnych elementów systemu politycznego państwa socjalistycznego.

Postanowiliśmy przyjrzeć się pracy samorządów mieszkańców na dwóch przykładach. Celowo wybrałam samorząd najlepszy nie tylko w Łodzi, ale i w kraju. A taki znajduje się właśnie w Łodzi. Wybrałam też inny, który działa od niedawna, w młodym, jeszcze budującym się osiedlu.

Ten pierwszy — to KOMITET OSIEDLOWY z osiedla ZARZEW.

Ten drugi — to KOMITET OSIEDLOWY z osiedla RETKINIA-PÓŁNOC.

Ten pierwszy swoim działaniem obejmuje osiedle, które leży między ulicami: Zapadną, Stefana Przybyszewskiego, Jana Promińskiego i parkiem dzielącym Zarzew i Dąbrowę. Znajdują się tutaj 84 bloki, w których mieszka około 20 tysięcy osób. Jest to osiedle już ukończone, istniejące od lat 10, które teraz upiększa się, uzupełnia. Jest to osiedle spółdzielcze, początkowo należało ono do Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawena”, a obecnie administrowane jest przez Spółdzielnię Mieszkaniową „Zarzew”.

Ten drugi swoim działaniem obejmuje północną część Retkini, leżącą między ulicami: Salvadore Allende, Janusza Kusocińskiego, Feliksa Dzierżyńskiego i Jullana Marchlewskiego. Znajdują się tutaj 100 bloków, w których mieszka około 18 tysięcy osób. Osiedle istnieje 3 lata. Nie jest jeszcze ukończony. Zaległe inwestycje wykonuje Łódzki Kombinat Budowlany „Zachód”.

Najpierw próbowałam znaleźć odpowiedź na pytanie: kiedy można mówić, że samorząd jest dobry, że dobrze pracuje? Usłyszałam, że tam jest dobry samorząd, gdzie dobrze pracuje administracja. Ale to jest chyba tylko o warunkach dobrze układającej się współpracy. Samorząd mieszkańców stawia sobie pewne cele, do realizacji których niezbędna jest współpraca administracji. I odwrotnie. Administracja stawia sobie też pewne cele, do realizacji których niezbędna jest współpraca samorządu. Dobrze jest, jeśli te cele są wspólne, jeśli realizowane są w interesie całej społeczności osiedla. Tak właśnie jest na osiedlu Zarzew.

Trudno byłoby jednak powiedzieć o

Komitacie Osiedlowym z Retkini-Północy, że jest złym samorządem, bo nie udało mu się spełnić wielu zadań, które podejmuje w interesie społeczności osiedla. Byłaby to opinia wielce krzywdząca. Taki samorząd może być kłopotliwy dla administracji, dla różnych instytucji, w stosunku do których występuje z różnymi postulatami, propozycjami, projektami. Występuje z nimi w interesie mieszkańców, dla ich dobra, aby im się lepiej w osiedlu żyło. I to jest też dobry samorząd.

Wspomniana uchwała Biura Politycznego KC PZPR z 1973 roku głosi między innymi:

Głównym zadaniem samorządu mieszkańców i jego organów powinno być skupienie i rozwijanie inicjatyw oraz aktywności mieszkańców na rzecz rozwiązywania własnymi siłami problemów i potrzeb rejonu zamieszkania.

Można więc powiedzieć, że dobry samorząd, to taki który stara się, z różnym powodzeniem, realizować ten główny cel i inne z niego wynikające. Bo prawda jest taka, że zdarzają się samorządy, które istnieją tylko formalnie, zrażone pierwszymi niepowodzeniami, zawieszają swoją działalność.

Można zaryzykować takie twierdzenie, że o wzroście aktywności mieszkańców i powodzeniu pracy samorządu decydują pierwsze sukcesy. Jeśli ludzie zobaczą, że samorządowi coś się udało, że coś osiągnął dzięki swojej pracy, to nabierają przekonania do społecznego działania. Tak właśnie dzieje się na Zarzewie. To przecież przy pomocy mieszkańców budowano park między Zarzewem a Dąbrową, ogródek jordanowski. Z inicjatywy samorządu powstał kryty parking. Na początku nawet niektórzy protestowali, że parking im zasłonił ładny widok z okna. Ale teraz sami korzystają z tego parkingu.

Maria Grzejszczyk, wiceprzewodnicząca Komitetu Osiedlowego na Zarzewie, chciałaby, aby zastęp społeczników był liczniejszy. Cieszy ją jednak i to kiedy ludzie przychodzą do administracji i molestują kierownika Czerwoskiego, aby nieczynną fontannę przerobił na kwietnik, kiedy samorządnie troszczyć się o zielen przed blokiem, włączając się do różnych prac społecznych. Samorząd ten ma wiele ciekawych przedsięwzięć. Założył „Republikę Słoneczną”, która jest swego rodzaju szkołą samorządności dla najmłodszych. Organizuje Olimpiadę Krasnoludków, prowadzi różne kluby, a z pieniędzy otrzymanych w nagrodę za pierwsze miejsce w konkursie na „Zachód” zakupił u Michała Galkiewicza rzeźbę dziecka, która to rzeźba upiększy wiosną osiedle.

Inaczej sprawa wygląda na Retkini. Ubiegłej zimy, kiedy śnieg zasypał ulice, członkowie Komitetu Osiedlowego Retkini Północ sami chwycili za łopaty, aby odsłonić przystanki autobusowe, czy tramwajowe. Chętnych do tej pracy nie było i członkowie Komitetu Osiedlowego wcale się temu nie dziwili.

— Dlaczego mielibyśmy się temu dziwić — powiedział mi przewodniczący tego Komitetu, Henryk Cieślak — skoro ludzie już się kilka razy sparli na pracy społecznej. Ułożyliśmy na przykład chodniki. Wszyscy pomagali, kto mógł, bo chcieli chodzić po suchym, a nie po błocie. Następnego dnia przyjechał spychacz i wszystko zniszczył. Na naszym osiedlu nie ma żadnego placu do zabawy dla dzieci. Postanowiliśmy zrobić boisko. Przygotowaliśmy grunt, wykarbowaliśmy drzewa. W kilka dni wywrotki Łódzkiego Kombinatoru Budowlanego „Zachód” wywoziły na miejsce przysięgłego boiska ziemię z wykopów. Jak ludzie widzą, że nikt ich pracy nie szanuje, to nie będą jej wykonywali. Nie będą się do takiej pracy garnęli.

Uchwała Biura Politycznego KC PZPR z 1973 roku stwierdza:

Samorząd mieszkańców powinien mieć zagwarantowany wpływ na problemy zagospodarowania miejsca zamieszkania, jego wyposażenia w sieć handlu, gastronomii, służby zdrowia,

BOGDA MADEJ

SAMORZĄD NIE MOŻE BYĆ SAM

placówek kulturalnych, oświatowych, opiekuńczych, kulturalnych i sportowych. Opinia samorządu mieszkańców w tych sprawach powinna być poważnie brana pod uwagę przez władze miejskie.

Utrapieniem Retkini jest komunikacja. Dopóki nie wybuduje się wiaduktu w rejonie Dworca Kaliskiego trudno będzie o radykalną poprawę komunikacji z Retkinią. Ale pewne złagodzenie można osiągnąć już teraz. Tak przynajmniej uważa samorząd z Retkini Północ. Na przykład krańcówka linii autobusowej „F” znajduje się w odległości około 400 metrów od krańcówki linii „K”. Samorząd postuluje, aby obie linie kończyły się w tym samym miejscu. MPK uważa, że to niemożliwe. MPK w ogóle uważa, że winę za wadliwą komunikację na Retkini ponosi projektant osiedla i radzi, aby tam kłórować pretensje. A samorząd uważa, że należy pamiętać o matkach i dzieciach, które z braku miejsc w żłobkach i przedszkolach muszą swoje pociechy wozić do śródmieścia, a z niektórych bloków do przystanku trzeba iść i 15 minut. Z małym dzieckiem na ręku.

Na całe wielkie osiedle są tylko 4 aparaty telefoniczne. Trzy lata trwała o nie walka. W nocy, aby wezwać pogotowie, trzeba było jechać na Dworzec Kaliski, albo na ulicę Karolewską, na posterunek MO. Nie ma apteki. Za mało jest sklepów. Samorząd o tym wie. Postuluje, molestuje, prosi. Rozumie trudności, ale chce wiedzieć dokładnie, kiedy i co powstanie. Otrzymuje jednak zapewnienia, które nie są dotrzymywane.

— My nie uchylamy się od odpowiedzialności — powiedział Jerzy Izbiński, członek Komitetu Osiedlowego, przewodniczący komisji pojednawczej — ale nie można nas wy-

stawić „do bicia”. Osiedle buduje się już trzy lata. W osiedlu są ulice, przy których nie ma chodników dla pieszych. Chodzą po nich ludzie, bawią się dzieci, jeżdżą i parkują samochody. Do tej pory nie postawiono przy tych ulicach właściwych znaków drogowych. Teraz przedstawiono nam plan ustawienia znaków. Zgodziliśmy się na taki plan, bo jest to w interesie naszego bezpieczeństwa. A przede wszystkim bezpieczeństwa dzieci. Ale ludzie będą sądzili, że to nasz pomysł. Będą mieli do nas o to pretensje. A można było znaki ustawić od początku. Ludzie przyzwyczailiby się do tego i nie byłoby sprawy.

Na Retkini Północ wiele budynków jest jeszcze w okresie gwarancji. Ludzie przychodzą do administracji sygnalizując różne usterki. Administracja odsyła ich do ŁKB „Zachód” który zobowiązany jest do usuwania tych usterek. W wielu blokach owinie są zalane wodą. Administracja to nie interesuje. Trzeba poprawić niektóre chodniki, ale administracja jeszcze ich nie odebrała od wykonawcy, więc ją to też nie interesuje. W tej sytuacji Komitet Osiedlowy wystąpił do Spółdzielni Mieszkaniowej „Polesie” z wnioskiem o zmianę personelu administracji osiedla. Wniosek złożono w listopadzie 1979 roku. Odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

— Chcemy być partnerem w zarządzaniu osiedlem — powiedziała Wanda Cichończyk, sekretarz Komitetu Osiedlowego na Retkini Północ. — Chcemy, aby z nami się liczone, ale nie dlatego, że mamy takie ambicje, tylko dlatego, że my tu mieszkamy, że wiemy, co nam się potrzebuje. Na początku nawet nas się radzono, gdzie i jaki kiosk postawić. Teraz nikt już tego nie robi. A przecież, jeśli Urząd Dzielnicowy, Spółdzielnia „Polesie” i inne instytucje nie będą liczyć się z samorządem, to nie będziemy mieli

żadnego uznania mieszkańców i będziemy samorządem tylko z nazwy.

— Mogę to chyba powiedzieć na podstawie mojej praktyki w samorządzie — uzupełnił tę opinię Henryk Cieślak — że powinny być spełnione trzy warunki, aby samorząd mógł dobrze spełniać swoje zadanie, aby mógł angażować mieszkańców do spełniania różnych pożytecznych inicjatyw. Po pierwsze powinniśmy mieć rzetelną i pełną informację na temat zamierzeń dotyczących naszego osiedla. Musimy wiedzieć, co, gdzie i kiedy zamierza się budować, załadować, remontować. Po drugie — jeśli już składa się nam jakieś obietnice, a my o tym informujemy mieszkańców, to te obietnice muszą być dotrzymywane. I po trzecie — różne instytucje powinny liczyć się z naszym zdaniem, konsultować z nami swoje plany, poważnie traktować nasze zastrzeżenia, bo nie biorą się one z naszych imaginations, ale wynikają z rzeczywistych potrzeb mieszkańców.

A jest to możliwe. Przykładem niech będzie samorząd osiedla Zarzew. I tu nie wszystko udaje się tak, jakby chciał tego samorząd, ale jego pomysły, projekty i zamierzenia znajdują uznanie i są realizowane. Pozostały na przykład pakamery po budowlanych. Postanowiono ich nie rozbierać, ale przerobić na sklepy i kioski. I tak się stało. Co prawda zamiar nie wypalił do końca, ale z innego powodu. W tych kioskach i sklepach założono warsztaty i prywatną piekarnię. Zrobiono to z myślą, że handel społemowski zmusi się tym do konkurencyjnego działania. Niestety. I jeśli na Widzewie sklepy w innych rejonach dzielnicy przekroczyły plan obrotów, to na Zarzewie nie wykonywały. Kiedy w grudniu prywatny piekarnik zamknął swój sklep, inne sklepy nie zwiększyły zamówień na chleb. Zamiast konkurencji, miały wygodniejsze życie.



WSPOMNIENIA

Dalszy ciąg ze str. 1

Pojawiały się nowe twarze, ale przecież z uporem wracali wspomnienia o tych, którzy się nie odliczyli. Nie odliczyli się tacy dziennikarze, jak Hieronim Feja, Stanisław Rachalewski, Rom-Furmański. Nie było już Mecenasa, czyli wydawcy przedwojennego „Kurierza Łódzkiego” i „Echa” takich znajomych, jak Janusz Hirk — bo, tak przywykliśmy nazywać Feję — poznałem w „Kurierze”. Był synem długoletniego pracownika Elektrowni Łódzkiej. W redakcji miał opinie starego „wyterzaka” dziennikarskiego. W przedwojenny sposób łączył zainteresowania gospodarze i ekonomiczne ze sportem. Jego felietony budziły nieraz zastrzeżenia wydawcy, czyli Mecenasa. W domu przy rogu Zwirki i Piotrkowskiej, gdzie mieszciano się wydawnictwo, nieraz byłem świadkiem żartów pełnych kontrowersji dysput Mecenasa z Hirkem. Wydawca miał dlań wiele uznania, z przymrużeniem oka patrzył też na zdarzające się raz po raz „wysoki” Hirk, na jego „kace”. Gdy Hirk zjawiał się w redakcji, wołał na Bolkę, naszego redakcyjnego gościa, dawał mu pieniądze i Bolek już wiedział, że ma skoczyć po piwo i egipskie średnie (6 i pół grosza za sztukę).

To Hirk i jego pomocnik w dziale sportowym Klaudiusz Lityński, wprowadzali mnie w arkana zawodu. Miejsce najczęściej wybieranych przez nich na tego rodzaju adaptację dziennikarską, rozmowy o wydarzeniach, o polityce wydawnictwa, dyskusje o sprawach środowiska, była najbliższa redakcji położona restauracja „Tivoli”. Tu, przy okazji, za 5 złotych wypiliśmy ówiarke pod schabowe kotlety. Idzikowski, właściciel „Tivoli” — był przyjacielem prasy, dziennikarzy i artystów. W czasie okupacji, gdy lokal był „nur fuer Deutsche”, Idzikowski w sposób konspiracyjny dożył swych przedwojennych znajomych, a wśród nich i znanych aktorów. Z jego bractwami, synem właściciela „Komety” przy ul. Kopernika, byliśmy razem w skierniwieckiej podchorążówce, a potem na granicy polsko-niemieckiej w woj. poznańskim, skąd na kilka dni przed wybuchem wojny udało nam się jeszcze przejechać na parodniowy urlop do rodzinnego miasta. „Tivoli” pamiętam jeszcze i stąd, że w tym właśnie lokalu naczelny redaktor „Kuriera” Czesław Gumkowski namiełnie grywał w domino. Tutaj też odbył się na kilka lat przed wojną jubileusz pracy dziennikarskiej Gumkowskiego, uświetniony występami Siostr Burskich.

To swoiste „wprowadzanie” do zawodu nauczono mnie wymaganej w dziennikarstwie odporności. Nauczono mnie pisać rzetelne relacje z różnych imprez, narad i „poświęceń” (tych było w klerykalizowanej Polsce przedwojennej sporo) niezależnie od wypitej przedtem ilości alkoholu. Twardo to była szkoła, ale przecież jakieś wyniki dała. Na dwa lata przed wojną powierzono mi kierownictwo działu miejskiego w „Echu”. Dział był co prawda jednoosobowy, ale zaszczepił pozostałość zaszczepił. Moje nazwisko figurowało od tam do ostatniej strony gazety, w tzw. „stopce” jako „redaktora odpowiedzialnego za informacje miejskie”. Tak, „odpowiedzialny” był jednocześnie zarejestrowany w Urzędzie Wojewódzkim, a urząd miał prawo

w razie „wypadki” wyciągnąć w stosunku do niego najostrzejsze konsekwencje — z aresztem włącznie. W tymże Urzędzie Wojewódzkim, pracował red. Jan Wojtyński — rzecznik prasowy, między innymi organizujący dla środowiska dziennikarskiego konferencje i wycieczki prasowe do poszczególnych powiatów województwa. Imprezy te miały głównie jeden cel: pokazać, jak to władza dba o rozwój regionu.

To Wojtyński zorganizował również wycieczkę do Pabianic i powiatu łaskiego. Wszyscy wróciliśmy z niej cało i zdrowo z wyjątkiem przedstawiciela jednej z żydowskich gazet łódzkich. Cukier, bo tak się ów przedstawiciel nazywał, gardził w czasie prasowych wypadów samochodami instytucji i urzędów oddawanymi nam do dyspozycji i jeździł własnym, chyba jedynym wśród ówczesnych członków Syndykatu Dziennikarzy Polskich samochodem osobowym — fiatem 508. W drodze powrotnej ze wspomnianej imprezy. Cukier rozbił się za Pabianicami. Wrócił bardzo późno, bo na „Zamku” w Pabianicach gospodarze powiatu fetowali nas długo. Cukier przeżył krótko, ale potem jeździł już tylko, jak my wszyscy, samochodami urzędowymi.

Mecenasa i jego najbliższą rodziną, brat Władysław i bratowa Leokadia, mieli przysłówko: waga w kieszeni. Nie pamiętam więc w okresie kilku lat przedwojennych ani jednego takiego roku, aby ktokolwiek z pracowników redakcji otrzymał swoje wynagrodzenie punktualnie i w całości „na pierwszego”. Pensje otrzy-

mywaaliśmy na raty, co dzień, co dwa dni, jak popadło. Ja dostawałem 5 złotych starsi stażem koledyz inkasowali po 10, 15 czy 20 zł. Tylko naczelni — w „Echu” Franciszek Probst i w „Kurierze” Czesław Gumkowski — dostawali po 50 zł. dziennie. Wydawca poza tym polewał na dotacje z przemysłu, na płatne ogłoszenia, na artykuły reklamowe. Oczywiście jednocześnie pilnował, aby krytyka uprawiana w gazecie nie dotknęła owych „dobroczyńców”. Ogra-

mywaaliśmy na raty, co dzień, co dwa dni, jak popadło. Ja dostawałem 5 złotych starsi stażem koledyz inkasowali po 10, 15 czy 20 zł. Tylko naczelni — w „Echu” Franciszek Probst i w „Kurierze” Czesław Gumkowski — dostawali po 50 zł. dziennie. Wydawca poza tym polewał na dotacje z przemysłu, na płatne ogłoszenia, na artykuły reklamowe. Oczywiście jednocześnie pilnował, aby krytyka uprawiana w gazecie nie dotknęła owych „dobroczyńców”. Ogra-

KTO SIĘ NIE

nięczało to ogromnie możliwości dziennikarskiego wypisania się gdyż co krok potykaliśmy się o „rafy” o fabryki i tematy „tabu”. Dość łatwo było np. pisać o drobnych zatargach i strajkach w małych, ale jakże licznych w przedwojennej Łodzi fabryczkach i „budach”, niemożliwością jednak było oddanie prawdy o sytuacji załóg, czy o wielkich strajkach wstrząsających nie tylko życiem takich gigantów, jak Poznański, Scheibler i Grohmann, Ejtingon czy Geyer, ale i życiem całego miasta i kraju.

Informacje o strajkach okupacyjnych, o lokatach, które raz po raz wybuchły w dużych

Samorząd na Zarzewie jest okrzepły. Ma uznanie. Poparcie. Na koncie bankowym około pół miliona złotych otrzymanych w nagrodę za pierwsze miejsce w konkursie. Przyjeżdżają tu wycieczki z innych miast Polski, a także wycieczki zza granicy. Ma też dobrego patrona, Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka „Ponar Jotes”. Patron opiekuje się szkołami na osiedlu, członkowie załogi wchodzi w skład Komitetu Osiedlowego. Patron funduje wczasy dla emerytów z osiedla. Zawsze służy autokarem, jeśli samorząd organizuje jakąś wycieczkę. Zabiera dzieci z osiedla na zakładowe wczasy do NRD. Za to młodzież ze szkół osiedlowych pomaga w porządkach w fabryce. Posadziła drzewka na fabrycznym terenie. Samorząd nie patrzy ląkomie na fabryczną kasę. Pieniędzy nie potrzebuje. Raczej poparcia w realizacji różnych ciekawych i pożytecznych inicjatyw.

Samorząd na Retkini Północ też ma patrona. „Uniprot” z Nowych Sądów. Ale patron nie interesuje się retkińskim samorządem.

— Jak pójdziemy do fabryki — mówi Henryk Cieślak — to z nami porozmawiają. Jak nie pójdziemy, to nikt nas nie spyta, czy czasem nie trzeba nam w czymś pomóc. Na nasze zaproszenia, aby uczestniczyć w różnych spotkaniach, jakie organizujemy, nikt nie reaguje. A pomóc nam by się bardzo przydała.

Nawet finansowa. Ustawowo należy się im 5 procent od podatku za psy. Suma to wręcz śmieszna. Nie wystarcza na najpilniejsze potrzeby. A potrzeby są różne. Samorząd potrzebował na przykład do prac porządkowych spychacza. Zwrócono się do ŁKB „Zachód”. Kombinacj powie: „dobre, ale to będzie kosztowało. Nie mieli z czego zapłacić, więc musieli zrezygnować ze spychacza. A być może „Uniprot” mógłby jakoś pomóc w wypożyczeniu spychacza. Raz zresztą „Uniprot” wykazał dobrą wolę. Sprezentował samorządowi maszynę do pisania, tylko, że maszyna już nie pisze. Zepsuła się.

Samorząd na Retkini Północ boryka się z trudnościami. Ma upartych działaczy, którzy skoro podjęli się społecznej pracy, chcą się z niej dobrze wywiązać. Czy tylko jeden samorząd w Łodzi ma takie kłopoty? Przykład samorządu z Zarzewa dowodzi, że z tymi trudnościami można sobie poradzić. Ale nie tylko przez upór działaczy, ale też i przez pomoc i zrozumienie tych wszystkich, z którymi samorząd powinien współpracować i powinna to być współpraca — jak sama nazwa wskazuje — obustronna.

Jesteśmy właśnie w trakcie kampanii wyborczej do Sejmu PRL i wojewódzkich rad narodowych. W tej kampanii zapewne dyskutować się będzie też i o samorządach. Właśnie z myślą o tej dyskusji przedstawiam pracę dwu różnych samorządów. Oba dobrych. Jednego, który ma sukcesy i drugiego, który ma trudności i problemy. Nie przeciwstawiam ich sobie. Pokazuje tylko, że samorząd może i powinien liczyć się w umacnianiu systemu politycznego państwa socjalistycznego. Do tego został powołany.

Białowieża w zimie jest cicha, spokojna miejscowością. Ożywia się może tylko w czasie ferii szkolnych. Park Pałacowy — centrum ruchu turystycznego — jest wtedy od rana do wieczora pełen okrzyków i pisów dzieci używających sobie na nartach i łyżwach. A także w soboty i niedziele, kiedy to licznie zjeżdżają wycieczki. Pozostałe zimowe dni są puste i głuche. Wiosną, bez przesady, popada w odrętwienie. I chociaż liczy około 3 tys. mieszkańców, sprawia wrażenie wymarłej.

Życie kulturalne nigdy tutaj nie wyszło z powłok. Istnieje wprawdzie w osadzie kino, Gminny Ośrodek Kultury, biblioteka gminna — ale i nie poza tym. Wszystkie trzy placówki mieszczą się w jednym budynku, trocinku, zbudowanym około 1930 roku. Zimą, mimo intensywnego ogrzewania, we wszystkich pomieszczeniach panuje straszliwy ziąb.

Kino ma warunki do wyświetlania filmów w wersji szerokoekranowej, ale nie ma takich filmów. Występy estradowe należą raczej do rzadkości. Jeżeli już jakiś zespół czy piosenkarz zawita do Białowieży, to, delikatnie mówiąc, reprezentuje on poziom raczej mierny. Gdyby zaś zaprosić któregoś z tutejszych mieszkańców, kiedy i z jaką sztuką zawita do nich ostatni raz Teatr im. Węgierki z Białegostoku, wątpię, by ktoś dał na to odpowiedź.

W GOK, popularnie nazywanym przez miejscowych „świłtlicą”, rzadko usłyszy się człowieka. „Żywa dusza” są tutaj tylko uczestnicy ogniska muzycznego i członkowie młodzieżowego zespołu wokalo-instrumentalnego. Jeżeli w tej całej „świłtlicy” cokolwiek dominuje, to tylko ciasnota i ziąb. Zresztą, co może tutaj przyciągnąć mieszkańców? Kilkadzieśiat tytułów dzienników i czasopism oraz kolorowy telewizor, który w dodatku często się psuje?

Nie lepiej jest w bibliotece. Tutaj też panuje straszliwa ciasnota i nie mniej straszliwy ziąb. Nowa kierowniczka chciała ożywić działalność biblioteki. Przeprowadziła kapitalny remont pomieszczeń. Z ogrzanych i wstrętnych pokoiów zrobiła dosyć przytulne i zaczęła prowadzić działalność kulturalno-oświatową. Nie spodobało się to pani dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Hajnówce, sprawującej nad białowiejską biblioteką nadzór merytoryczny. Ustaliła dla niej takie godziny otwarcia, że położyła kres jakiegokolwiek działalności kulturalno-oświatowej. MBP w Hajnówce przejęła także zakup książek do biblioteki w Białowieży. O ile kiedyś nowości książkowe pojawiały się w niej po 2-3 tygodniach od ukazania się w księgarniach, teraz pojawiają się po 3-4 miesiącach. Wielu z zakupionych teraz książek nikt nie chce wziąć do ręki. Mieszkańcy Białowieży coraz rzadziej zaglądają do biblioteki, bo i po co? Kierowniczka, nie nie wskorawszy u miejscowych i wojewódzkich władz i nie mając nadziei, że zdola cokolwiek kiedyś wskorąć, rozpoczęła już poszukiwania nowej pracy.

Jeżeli gdzieś w Białowieży zimowym wieczorem toczy się życie, to tylko w restauracji „Sarenka” i „Turystyczna”. Z tym, że dni te ostatnie są już policzone. Są to poza tym uznane białowiejskie „mordownie”.

Jest w Białowieży trochę młodzieży, jest koło ZSMP. Młodzi są jednak tak ospali, że na nic nie mogą się zdecydować, nie potrafią sobie niczego urządzić. Jakoś nie udają się nawet dyskoteki. Zresztą, nie ma gdzie ich urządzić.

Wszyscy w Białowieży, młodzież i dorośli, postulują potrzebę wybudowania nowego, przestronnego budynku z przeznaczeniem na GOK. Potrzebę widzą też i miejscowe władze. Cóż jednak z tego, skoro nie potrawią, a może w gruncie rzeczy nie bardzo chcą tej potrzeby nadać rumieńców. Naczelnik gminy chce przenieść GOK do budynku zajmowanego przez restaurację „Turystyczną”. Burza się jednak przeciwko tym zamiarom sąsiadów eks-restauracji. Mają już dość pijackiego harmideru. Gdzieś tam teraz znieść zwiłokrotnie dźwięki prób zespołu młodzieżowego. Ponadto budynek jest zabytkiem, i to najstarszym w Białowieży. Zbudowany był aż w 1845 roku. Zresztą, budynek ten nie zaspokoiłby wymagań GOK. Ma za mało pomieszczeń. Jedynie, co jest dobre, to to, że jest ciepły.

Dyrektor Białowiejskiego Parku Narodowego, który jest gospodarzem zabytku, zamierza urządzić w nim, osro-

mych białowieżan i wszystkich miłośników tego regionu z całego kraju. Jest on także niezgodny z ustaleniami władz wojewódzkich, które wyraźnie przed pięć laty podjęły decyzję o nierozbudowywaniu bazy noclegowej w Białowieży. Baza taka ma być rozbudowywana na obrzeżu Puszczy Białowiejskiej, w Hajnówce. Uchroni się w ten sposób Białowieżę przed zadeptaniem jej przez turystów.

A baza noclegowa w Białowieży, wliczając kwatery prywatne, wynosi aktualnie około 400 miejsc. I jest to chyba wystarczająca liczba. O ile, oczywiście, poprawi się gospodarka nim. Bo np. hotel „Iwa” często w letnim sezonie turystycznym wynajmuje pokoje dla uczestników wczasów samochodowych (organizowanie ich w Białowieży — to pomysł iście szatański), uczestników rozlicznych konferencji, sympozjów, narad itp. A przecież ma on służyć przede wszystkim turystom. W chwili obecnej trwa ka-

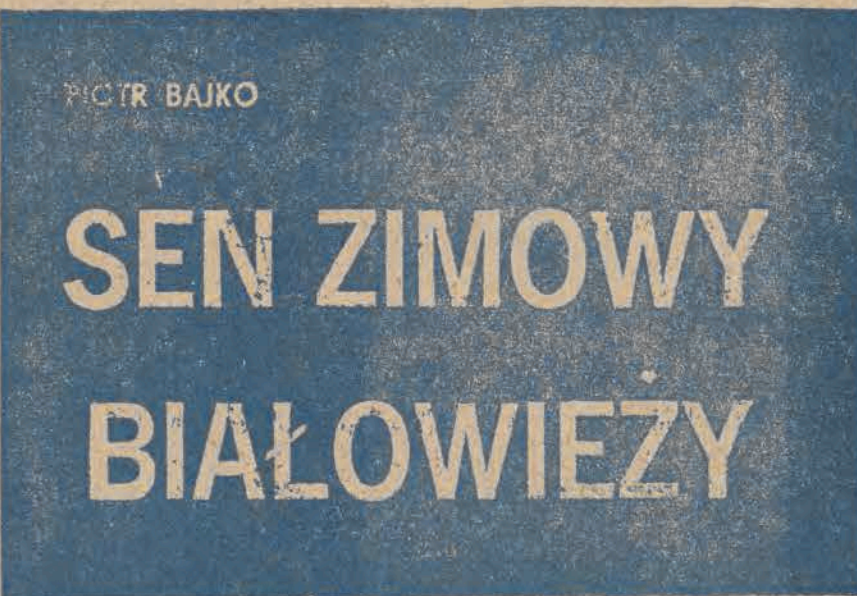
żalne ślady dewastacji. 75 proc. drzew na ogólnie dostępnej trasie ma ślady uszkodzeń, sporo drzew, wskutek nadmiernego deptania, uschło. Nie zezwala się na wejście na teren rezerwatu dzieciom do klasy VI włącznie. Wielkość grupy przypadająca na jednego przewodnika nie może przekraczać 25 osób. W okresie wiosennych roztopów, tj. od połowy marca do końca kwietnia rezerwat jest zamknięty dla ruchu turystycznego. W ogóle, cały ciężar ruchu turystycznego próbuje się przenieść do zagospodarowanej części puszczy. Z pomocą przyszły lasy państwowe. Nadleśnictwa urządziły w wielu leśnych zakątkach miejsca ogniskowe, pola namiotowe, campingi, zagospodarowały trasy turystyczne — istniejące, wytyczyły kilka nowych. Warto też zaznaczyć, że część zagospodarowana puszczy, pomimo intensywnego eksploatacji drewna, ma jeszcze sporo miejsc nadających się do uprawiania. Ochroną rezerwatu w tej części objęto powierzchnię około 2,3 tys. ha.

Właściwie nie wiadomo, co głównie jest przyczyną tego, ale liczba turystów odwiedzających Białowieżę zaczęła od paru lat spadać. W ub. roku odwiedziło ją ponad 120 tys. osób, tj. o ponad 10 proc. mniej, niż w rekordowym w historii białowiejskiej turystyki roku 1976. Wiele osób kompetentnych w tej sprawie twierdzi, że Białowieża po prostu „przejadła się” ludziom. I chyba mają sporo racji. Brak zdecydowanie nowych atrakcji nie zachęca ludzi do przyjazdu. Pomysł oddania w użytkowanie dla turystów kolejki leśnej zaczyna już porastać mchem historii. Ciągłe jeszcze ktoś z kimś nie może się dogadać. Władze gminne kiedyś próbowały o utworzeniu na terenie Białowieży skansenu. Teraz o tym w ogóle cicho. A początek właściwie już został zrobiony. Trzy lata temu miejscowy etnograf-amator sprowadził do Białowieży z przypuszczalskiej wsi stary wiatrak, wyremontował go własnymi siłami i ciągle żywi nadzieję, że gospodarz gminy sprowadzi skądś jakąś starą chatynkę, chlew, stodołę itp. i tak powstanie ten skansen.

Ludzie odpowiedzialni za ochronę puszczy (zresztą, czy ktoś z nas może być nie odpowiedzialny za nią?) cieszą się, że ruch turystyczny zaczął czyszczyć. Mniej ludzi, mniejsze zniszczenia w przyrodzie. Jednakże ich radość, pomimo wszystko, nie jest zupełna. Nawet gdyby spaść ten popiół w latach następnych.

Jest wiele spraw, jeszcze nie załatwionych. Jak chociażby utworzenie otuliny dla ścisłego rezerwatu przyrody od strony Polany Białowiejskiej. Wlecie się ta sprawa od szeregu lat i nie może się zakończyć. Podobno w tym roku dojdzie już do pomyślnego rozwiązania. Ale czy na pewno? Nie wiadomo są na razie potencjalne skutki, jakie może za sobą pociągnąć dla znacznej części puszczy budowa olbrzymiego zbiornika wodnego w Siemianówce. Odpowiedź jednak przyjdzie chyba nie wcześniej niż za 5 lat. Kłopotów zaczyna dostarczać żubry. Jest ich w całej Puszczy Białowiejskiej ponad 300 sztuk. Nieco już za dużo jak na dzisiejszą puszcze. Co zatem z nimi robić? Wysyłano dotąd wszystkie nadwyżki do różnych większych kompleksów leśnych w całej Polsce. Ale takie możliwości znacznie już się zmniejszyły. Może sprawę dotyczącą kierunków dalszej hodowli żubrów rozwiąże V konferencja polsko-radziecka nt. żubra?

Senna, zimowa Białowieża może i ma swój urok. Szczególnie dla przyjezdnych. Tylko, że oni odjadą, a ci, którzy tu zostają, wcale się z tego nie cieszą.



dek szkoleniowo-dydaktyczny. Grupy turystyczne, szczególnie młodzieżowe, byłyby tutaj, poprzez prelekcję, pogadankę lub wyświetlenie przeobrażeń czy też demonstrację filmu przyrodniczego o tematyce białowiejskiej przygotowane teoretycznie do zwiedzania puszczy. Ośrodek mógłby również służyć pomocą nauczycielowi w organizacji wycieczki do Białowieży. Informowałby go o tym, co gdzie i kiedy tutaj można zwiedzić. Potrzebę utworzenia takiego ośrodka od lat postulują białowiejskie placówki naukowe. Gdyby doszło do jego utworzenia, byłaby to jedna z nielicznych mądrych rzeczy, które uczyniono w Białowieży w przeciągu ostatnich lat.

Sprawa, która w nie mniejszym stopniu niż potrzeba budowy nowego obiektu dla GOK, zaprzęta umysły białowieżan, to brak mieszkań. Najrozsądniejszym wyjściem byłoby założenie spółdzielni mieszkaniowej. Cóż jednak z tego, skoro o budowie bloków mieszkaniowych w osadzie nie ma co marzyć do chwili, aż zostanie wybudowana oczyszczalnia ścieków. Oczyszczalnia taka wybudowana będzie, ale kiedy — nie wiadomo. Było już kilka terminów rozpoczęcia budowy. Ile ich jeszcze będzie? Kto wie?

Ale nie ma takiej złej sprawy, która by na dobre nie wyszła. Brak oczyszczalni w osadzie położyl, zdaje się, na łopatki, projekt budowy w Białowieży, kosztom 45 mln złotych, dużego, na 400 miejsc — hotelu orłowski. Pomysł budowy takiego hotelu w środku puszczy był i jest nadal ostro krytykowany przez sa-

malny remont Domu Wycieczkowego PTTK, dysponującego około 100 miejscami. Przewidywany koszt remontu — 15 mln zł, czas trwania — 3 lata, efekt — podniesienie standardu pokoi, ale jednocześnie zmniejszenie się ich ilości o połowę.

Co by jednak złego nie powiedzieć o Białowieży trzeba przyznać, że w ostatnich 2-3 latach zaczęto jednak tutaj dbać nieco o ludzi. Porządkuje się teren wokół dworca PKP. Buduje się duży parking. Rozbudowywana jest restauracja „Żubrówka”. Ustawiono drogowskazy i tablice informacyjne.

W gruncie rzeczy jednak, turysta, który był w Białowieży przed 20, 30 laty niewiele więcej zobaczy dzisiaj. Niemniej od lat, proponuje się przyjeźdnym zwiedzenie rezerwatu żubrów i koników leśnych typu tarpana. Zwierzęta pokazuje się w zagrodzie prowizorycznej, rezerwat pokazuje jest w przebudowie od blisko 10 lat i końca prac jeszcze nie widać. Pokazuje się Muzeum Przyrodniczo-Leśne (od czerwca 1972 roku w nowym pomieszczeniu — zwiedziło je w tym czasie ponad 0,5 mln. osób) i ścisły rezerwat przyrody. Głównym programem dla każdej wycieczki są jednak kuligi po puszczy. Początkowo przejażdżki odbywały się tylko w zimie, teraz organizuje się je przez cały rok.

W ostatnich latach zaczęto organizować ruch turystyczny na terenie ścisłego rezerwatu przyrody, serca Białowiejskiego Parku Narodowego. Niestety, rezerwat zaczynał nosić wy-

mówiono o tej okrutnej zbrodni — podczas nieobecności generała, dowódcy dywizji, bawiącego na kursie narciarskim w Zakopanem, jego ordynans dokonał bestialskiego mordu na żonie dowódcy, szczeni i jego dwójce dzieciach. Gdy wysiadłem z pociągu, miasto przywitało mnie osobliwą atmosferą. Dominowała w niej wściekłość mieszkańców i ich najgłębsze oburzenie, złowrogie milczenie i smutek, pragnienie szybkiego zadośćuczynienia.

Ale zabójcy jeszcze nie ujęto. W domu Generała, mieszkającego się w skierniewickiej dzielnicy willowej, widziałem cztery białe trumny i niemą rozpacz dalszej rodziny. W powietrzu czaiła się groza. Wyszedłem na miasto w nadziei, że dowiem się czegoś, jakichś szczegółów, okoliczności zbrodni. Ludzie bowiem, w takich jak ten przypadkach, powtarzają wiele wersji, prawdziwych i nieprawdziwych, zasłyszanych plotek, ale przecież wśród tego, co ludzie mówią, padnie czasem i słowo zasługujące na uwagę. W wędrówkach po ulicach Skierniewic, w rozmowach z przypadkowo spotkanymi ludźmi, natrafiłem na wiele drastycznych szczegółów, rozważań na temat psychiki mordercy. Udało się m. in. ustalić nazwisko ślusarza, do którego ordynans-morderca udał się na kilka dni przed zbrodnią, by naostrzyć narzędzie zbrodni. Przez cały tydzień karmilem czytelników „Echa” obszernymi relacjami na temat skierniewickiej tragedii.

A sprawcy ciągle jeszcze szukano. Dopiero po kilkunastu dniach przysłała wiadomość — tropiony przez pościg ordynans schronił się w małym domku pod Mińskiem Mazowieckim. Zbrodniczy maniak, ciężko chory psychicznie,

jak się okazało, nie dał się wziąć żywcem. Gdy pęta pościgu zacisnęła się, wydołał się na dach budynku i tam się zastrzelił. Ciało mordercy stoczyło się pod nogi policji i żandarmów. Dlaczego z taką pasją zabijał? Czy miała to być okrutna zemsta, zemsta tchórzka czekającego tylko na wyjazd generała odwet za urojone krzywdy wyrządzone ordynansowi przez wysokiego zwierzchnika? Pamiętam — nie było jednoznacznej oceny przyczyny zbrodniczego szalu.

W międzywojennej Łodzi głośne były także inne sprawy kryminalne — Gruenninga zbrodnicego mordercy dziewcząt, Zajdłowej która pozbawiła życia swą 8-letnią córeczkę. Łaniuchy, mordercy małżonków Tyszerów, właścicieli sklepu muzycznego przy ul. Piotrkowskiej 117. Gruenning dokonał pod Łodzią zabójstwa seksualnego na młodej dziewczynie, co na długo wstrząsnęło opinią publiczną miasta. Gazety pisały o tej zbrodni przez kilka dni, aż tu nagle nasz korespondent z Radomska powiadomił redakcję o innym zabójstwie dokonany przez nieznanego sprawcę, prawdopodobnie również zbrojnego. Na podstawie okoliczności zabójstwa radomszczańskiego wysunęliśmy w gazecie tezę, że pod Łodzią i pod Radomem sprawcą był jeden i ten sam mężczyzna. Teza ta zbulwersowała policję, inspektorzy i komisarze dzwonił do redakcji prosząc o dodatkowe szczegóły uzasadniające połączenie wyników przestępstw w jedną serię. Ale tych dodatkowych szczegółów nie mieliśmy.

Dalszy ciąg na str. 6

fabrykach stojąc się zaczątkiem strajków powszechnych i wielkich bojków klasowych, ukazywały się w gazetach dobrze przesiane przez sito swoistej cenzury wewnętrznej, albo też w formie komunikatów oficjalnych redagowanych w porozumieniu z... przemysłowcami przez same władze wojewódzkie. Niezależnie zdarzało się, że zarówno w „Kurierze” i „Echu” czy w innych łódzkich gazetach witały czytelników białe plamy — ślady działania cenzury, powstałe po usu-

ODLICZYŁ?...

niece „szkodliwych” artykułów, czy choćby kilku zdań, mogących odsonić faktyczny stan rzeczy.

W Łodzi międzywojennej najczęstsze były strajki ekonomiczne, bo w fabrykach panował wyzysk, bo okropne były warunki pracy, a o bhp w naszym dzisiejszym rozumieniu, w ogóle nie mówili. Małe „budry” robiły wszystko, aby jak najszybciej obławić się kosztem misio opłacanych ludzi, od czasu do czasu właściciele fabryk, nawet większych ogłaszali własne upadłości, raz po raz wybuchali w mieście tajemniczy pożar, za którym kryły się często

machinacje ubezpieczeniowe przemysłowców — podpalaczy.

Ale przecież, jak to wspominałem, i stosunki w gmachu przy rogu Żwirki i Piotrkowskiej dalekie były od ideału. Zarobki wypłacano nam ratałnie, co zupełnie uniemożliwiało jakiejkolwiek planowanie budżetu domowego, a tymczasem jak głośno fama wydawcy raz po raz nabywali majątki ziemskie. „Dusigrosze” — mawiał o nich Hłrek. Byliśmy wszyscy tego samego zdania, ale co? Na rynku pracy, zwłaszcza w dziennikarstwie przedwojennym, był ścis, nie tak łatwo przychodziło zmienić redakcję i warunki na lepsze.

Nie było mnie w Łodzi od jesieni 36 do lata 1937. Egzystowałem w tym czasie jako strzelec z cenzurą w Dywizyjnej Szkole Podchorążych Piechoty w Skierniewicach. Stąd właśnie otrzymałem przydział jako kapral podchorąży rezerwy do łowickiego 10 pp. Z tym pułkiem też poszedłem na wojnę zmobilizowany już w marcu. W okresie służby skierniewickiej i mi przez myśl nie przeszło, że wkrótce po ukończeniu podchorążówki jeszcze raz pojedę do Skierniewic i że odwiedzę nawet dom dowódcy dywizji, który latem 1937 posawał mnie na podchorążego.

Jechałem wtedy do Skierniewic na wyraźne polecenie sekretarza redakcji, Roma Furmańskiego. Chciał, żebym przedstawił czytelnikom „Echa” możliwie najwierniejszą relację z wydarzeń, które miały miejsce w Skierniewicach. A wydarzenia te elektryzowały szybko opinię publiczną województwa i kraju. Już w pociągu

DZIWNE I CIEKAWY

Sztuki magiczne? Zmrużmy delikatnie jedno oko i przyznajmy z ręką na sercu: każdego cieszą!

Ale też skąd brać, gdzie szukać rasowych magików, współczesnych czarodziejów, mistrzów magicznej laseczki? Albo może nawet na 5 milionów? Autentycznie zdolnego iluzjonistę spotkać można bardzo rzadko. Znany i ceniony artysta sztuki iluzji, jednocześnie teoretyk i autor podręczników magii, Jochen Zmerek z Berlina, mówi:

Ostatnie dziesiątki lat były dla sztuki iluzji bardzo pomyślnie. Jesteśmy świadkami spontanicznego rozwoju tej dziedziny sztuki. Przed 50 laty zdawało się, że iluzja zamiera. Ostatnio tym bardziej wzrosła jej znaczenie, że w resorcie kultury uznano ją za oficjalnie jedną z dyscyplin „lekkiej muzyki”. Dzięki temu traktuje się sztukę iluzji na równi z innymi dziedzinami rozrywki.

Jeszcze przed kilkunastu laty sądziliśmy powszechnie, że rozwój telewizji niszczy iluzję sceniczną, albo przynajmniej wyeliminuje ją z życia artystycznego. Tymczasem stało się zgoła przeciwnie: telewizja dostarcza sztuce iluzji nowych bodźców, wzbogaciła ją nieoczekiwanymi efektami, jest lansowana, poszukiwana, a telewizja stwarza jej dodatkowe szanse prawie nieograniczonego odbioru.

Na scenach teatrów, kabaretów, cyrków, music-hallów Europy, Ameryki, Azji występują — zazwyczaj poiryzowani szumem reklamą — wybitni, niekiedy, znakomici artyści iluzji. Prezentują wielką iluzję estradową, opartą o przemysłowe rekwizyty, „sztukę jasnowidzenia”, tj. eksperymenty pamięciowe, nierzadko iluzję komediową czy iluzję przeznaczoną dla dzieci. Nazwiska — czy pseudonimy — Freda Kapsa, Tony von Dommerlana, Richarda Rossa, Pierre Bramma, Morettiengo, Siegfrieda i Roya — czy ostatnio Sultan-

gali Sukurova i Sary Kabi-guliny, laureatów Światowego Festiwalu Magii — Bruksela 1979 — są synonimami rzadkich talentów, niezwykłych uzdolnień i pracowitości.

W naszym kraju znani są: mistrz Nemo, Astrallvi, Aladyn, Balsamo, Jur, Mac Gregor i kilku innych. Jak mówi mistrz, najwyższej ceniony w tej branży, pan Tomasz Chelmiński — Salvano — za jednym ruchem czy gestem iluzjonisty, kryje się czasem kilka lat wyjętego wysiłku, pasji, uporu.

Stara, jak stary jest świat, sztuka czarodziejów i magików, sztuka iluzji, przeżywa obecnie swój renesans. Naturalnie nie zadowolili współczesnej publiczności program, w którym iluzjonista wyczarowuje królika z cylindra. Iluzjoniści XX wieku, obok umiejętności manualnych, zdumiewającej zręczności i refleksu, stosują przemysłowe efekty świetlne, wykorzystują techniki filmowe, prezentują zaskakujące rozwiązania techniczne: potrafią na oczach publiczności ujawnić np. słońca na estradzie, który za chwilę zniknie, na ich polecenie uroczę dziewczyny unoszą się swobodnie w powietrzu, wdzięczne laseczki czy inne przedmioty „same” tańczą, ba — iluzjoniści potrafią chwycić i z powrotem składać ciała swych partnerów, przebiegać je szpadami czy szablami, a następnie ożywiać. Zdarza się, że całym takim czarodziejskim show dyryguje np. odpielowana ludzka głowa, umieszczona (jak żywa!) na tekturowym kartonie. Kiedy indziej „obrazy wychodzą z ram” i na scenie pojawiają się postaci słynnych magów z przeszłości: od zaklinacza duchów Cagliostro czy Doktora Fausta i Frankenstein, do obrzydliwego, wspólnego Dracula włącznie; iluzjonistom towarzyszą pantery, lwy czy węże, często cały sztab asystentów i feeria barwnych świateł. Jak to lapi-daryści określił Mar Ratiński z ZSRR: efekt wiskiej sprawności iluzjonisty i jego zespołu polega na umiejętności przekonania widza o możliwości istnie-

nia rzeczy niemożliwych. I dodał: nie zapominajmy, że umiejętność prezentowania iluzji, znikania przedmiotów i ludzi, pojawiania ich, zaspokaja prze-

impresie takiej patronował w Wiedniu burmistrz miasta, dr Graetz, miejscem pokazów był szacowny Burgtheater. Z podobnym rozmachem organizo-

najstarsze tradycje mają organizacje iluzjonistyczne w Czechosłowacji i Niemieckiej Republice Demokratycznej. Ostatnio również w Bułgarii i na

Przed wszystkim jednak klub zrzesza entuzjastów iluzji, ludzi w różnym wieku, różnych profesji. Rządki rodzaj hobby, jakie uprawiają, skłania ich do szukania wzajemnych kontaktów.

Najłatwiej o znalezienie kontaktu wtedy, gdy kilka osób zainteresowanych zakłada np. przy dużym przedsiębiorstwie przemysłowym, hucie, kopalni czy przy domu kultury — koło iluzjonistów. Mecenas, tj. zakład pracy, udostępnia wtedy lokal na zebrania i scenkę do prezentacji, ułatwia współpracę z innymi zespołami artystycznymi, umożliwia zakup rekwizytów, a nawet pokrywa koszty kształcenia umiejętności iluzjonistycznych. Gorzej, gdy entuzjasta sztuk magicznych mieszka w odległej miejscowości: Suwałkach, Przemyślu czy Krośnie Odrzańskim. Gdzie wtedy szukać „bratniej duszy”? No, właśnie — w klubie w Łodzi.

Wydaje się, że to bardzo łatwe — zostać iluzjonistą. Wystarczy poznać sekret i — powodzenie pewnie! Tymczasem, żeby dobrze wykonać trick, trzeba długo trenować, nauczyć się dobrze manipulować, tzn. nieustannie trenować ręce, zwłaszcza dłonie i palce. Bez zręcznej manipulacji nie można precyzyjnie, ładnie, prawidłowo pokazać większości sztuk. Termin „manipulacja” nie oznacza zresztą tylko ruchów dłoni i palców. Raczej zespół licznych ruchów i zwrotów głowy, tułowia, a także wyrazu oczu. Opanowanie sztuki manipulacji jest tym dla iluzjonisty, czym dla ucznia opanowanie alfabetu. Jest czymś podobnym jak nuty i gamy dla muzyków. Aby osiągnąć niezbędną zręczność, iluzjonista musi trenować swe palce, ciało, podobnie jak artysta-wirtuoz. A więc ciężka praca.

Ale to także znakomite, urocze hobby, pasja, rzadka i zadziwiająca umiejętność, która ludziom niesie radość, daje relaks, rozwija umysł, wszechstronnie kształci i — bawi!



de wszystkim ludzką tęsknotę do niezwykłości...

Na całym świecie istnieją organizacje zrzeszające entuzjastów sztuk magicznych. Światowa organizacja „Iluzjonistyczna FISM” ma swą siedzibę w Brukseli. Organizacja zwołuje kongresy członków, rekrutujących się ze wszystkich państw i wielu kontynentów. Także poszczególne europejskie organizacje iluzjonistyczne — niekiedy bardzo ekskluzywne — przygotowują kongresy. W roku 1977

wane były w ostatnich latach kongresy w Amsterdamie, Monte Carlo, Madrycie, Delhi. W państwach socjalistycznych dobra renoma cieszą się doroczne kongresy magików w Karłowych Warach. Obrady, spotkania, pokazy, konkursy, seminaria, towarzyskie i targi (kiermasze rekwizytów) odbywają się w pierwszorzędnych lub luksusowych hotelach, a uczestnictwo w nich jest z reguły sprawą dość kosztowną.

W krajach socjalistycznych

Węgrzech powstały kluby iluzjonistów. Od 1973 góra 3 lat istnieje w Polsce Klub Iluzjonistów-Amatorów przy Łódzkim Domu Kultury. On 1 września 1979 roku uzyskał on status Krajowego Klubu Iluzjonistów. Jako organizacja o sporym dorobku, klub ma określone ramy organizacyjne, rozległe kontakty w kraju i za granicą, kształci zainteresowanych sztuką iluzji, organizuje dla nich kursy doskonalenia i doroczne kongresy, wydaje i udostępnia materiały instruktażowe.

WSPOMNIENIA

Dalszy ciąg ze str. 5

Co się jednak okazało? Okazało się, że mieliśmy rację, a Gruening, gdy go ujęto, przyznał się do obu zbrodni. Sprawa sądowa potwierdziła przypuszczenia co do zdecydowanie ograniczonej poczytalności mordercy, nie otrzymał on jednak wyroku śmierci, a z więzienia, gdzie odsiadywał karę, uwolnili go Niemcy tuż po wkroczeniu do Łodzi we wrześniu 1939. 12 lat więzienia otrzymała za swój okrutny czyn Zaidlowa, a o Łankusze długo jeszcze krążyły niewybredne ballady i kuplety w prostych słowach oddające dramat, w którym dwoje starszych ludzi straciło życie.

Pierwszy już okres okupacji niemieckiej gruntownie odmienił obraz życia w Łodzi. Trzecia część ludności zamknięta w getcie, do głosu dochodziły ujawniające się tu i ówdzie przedstawiciele V kolumny, Niemcy podpisujący volkslisty liczący na większe przydziały żywności i przywileje przynależne ludzom „1000-

tuż na jesieni 1939, udejąc się na wschód, m. in. do Wilna, część powędrowała do Generalnej Guberni, licząc na bardziej znosne warunki egzystencji, niż w Łodzi, która przytłoczona została do Warthegau (Kraju Warty), który miał stać terenem przyspieszonej eksterminacji Polaków. Jak głosił gauleiter Greiser, i ostatecznego zniemczenia. Reszta zmieniła z konieczności zainteresowania i zawód, kierując się do pracy w różnych zakładach i zawodach pozadziennikarskich.

Gdy w listopadzie 1940 roku wróciłem z obozu jenieckiego do Łodzi, miałem obowiązek meldowania się w komisariacie niemieckiej policji przy ul. Mochnackiego. Okupant bowiem chciał wiedzieć o każdym kroku tych wszystkich Polaków, którzy wracali z obozów, którzy walczyli na frontach. Bardzo szybko łódzki Arbeitsamt skierował mnie do pracy i tak zacząłem okupacyjny żywot w rodzinnym mieście. Bezwzględnie pouczono mnie w domu, że- bym nie wsiadał do pierwszych wagonów tramwajowych, uważał na napisy „nur fuer

niony z naszą redakcją, mieliśmy wszyscy jego służbowy numer telefonu, on sam zresztą często do nas dzwonił, sygnalizując większe wydarzenia, którymi zajmowała się jego, czy inne brygady policji. Wydarzenia, którymi przebiegał żyły codzienne gazety. Zależało nam na utrzymaniu tych kontaktów, pracowaliśmy bowiem w przedwojennej prasie w warunkach ostrej konkurencji. Gdybyśmy np. nie dali do gazety kilku większych „sensacji” — którymi „błyszczała” konkurencja, moglibyśmy się śmiało pożegnać z pracą w redakcji. Liczyła się każda wiadomość, której nie miał konkurent. Dostawał więc Janusz, za swe przyszłe wejściówki do kin i teatrów, zapraszaliśmy go też raz po raz na symboliczny kieliszek wódki.

Nieraz dzięki niemu pierwszy w łódzkiej prasie mieliśmy wiadomość, że właśnie przed chwilą zaczęła się palić wielka fabryka, że w nocy dokonano włamania do banku, że ujęto wreszcie niebezpiecznego i długo poszukiwanego bandziora. Ale oto czekało mnie spotkanie z Hirkiem i Januszem. Bystry był Janusz, wszystko-wiedzący — mówiliśmy o nim kiedyś w redakcji, ciekawe, co usłyszymy od niego teraz, gdy Polaków ułajmiono, gdy wszechwładnie rządzą gestapo i niemieczyna.

Janusz mieszkał na Żeromskiego, tuż przy Kopernika. Idąc tam dziwiłem się nieco, gdyż dom był okazały, a na mieszkanka w takich domach zaraz po wkroczeniu Niemców polecili volks-i reichsdeutsche. Dlaczego więc Janusza nie wyrzucano na przedmieście, do jakiejś rudery, jak to uczyniono z wszystkimi przesiedlonymi?

Na górę był już Hirek. Janusz przywitał mnie dość serdecznie. Był sam, bo jak mówił, gdy ma jakieś „męskie” spotkanie, żonę delikatnie wysyła do koleżanki, czy na spacer. W mieszkaniu było wszystko co trzeba, zupełnie nie sprawiło wrażenia lokalu ogołoconego, czy wyprzedanego z co wartościowych mebli i urządzeń, jak to często bywało u Polaków.

Okazało się — i to było dla mnie pierwszym wielkim zaskoczeniem — że Janusz nadal pracował w brygadzie pościgowej. Oczywiście, niemieckiej brygadzie. Dla wyjaśnienia powiedział:

— Albo będziesz robił to, co robiłeś przed wojną, albo pójdiesz tam, dokąd posyłamy wrogo usposobionych do nas Polaków, czyli do obozu — tak mi powiedział. — Zaskoczyło mnie to, wiecie, ale z drugiej strony przecież ja nie innego nigdy nie robiłem, tylko ścigałem przestępców...

I Janusz odbywał dalszy ciąg swego policyjnego stażu. Tym razem u Niemców. Gdy weszliśmy do mieszkania, od razu zauważyłem, że Janusz, zawsze taki okaz zdrowia i krzepy, jakoś niknął w oczach. Twarz miał blada, widać było na niej ślady przeżyć i zmęczenia, całą postać znamięnowała nerwowość. Czy mogłem się temu dziwić? Nie mógł zerwać z polskością, ale ten brutalnie wyrażony przez Niemców przymus pracy w Kriminallpolizei zrobił swoje. Musiał się w nim ciągle odzywać sumienie Polaka, który chroniąc własną skórę dał się wciągnąć w orbitę działania hitlerowskiego aparatu władzy i przemocy. Trzymali go na tej po-

sadzie, bo — jak mówił — znał teren, środowiska, przestępców. Kogo jednak — myślałem — ścigał, kogo tropił teraz, gdy front wrogoci i nienawisć przebiegała tak ostro między wszystkimi Niemcami i wszystkimi Polakami?

Janusz nie wytrzymał długo z tym wewnętrznym rozdarcie, nie mógł wytrzymać, gdy widział Polaków ściganych do gestapo, przesładowanych na każdym kroku, więzionych za byle co, na każdym kroku pod byle jakim pozorem wrogoci do III Rzeszy. I któregoś dnia, jak potem mówiono, odmówił współpracy. Do dziś brak danych, które świadczyłyby o tym, że Janusz oddał w ręce niemieckie jakiegokolwiek Polaka, przyczynił się do wtargnięcia kogokolwiek do więzienia czy do obozu. Ale Niemcy dostrzegli słowa — Janusz znalazł się w Oświęcimiu i nie wyszedł już żywy.

Już drugiego dnia pobytu w obozie rozpoznał go wśród więźniów jeden z dozorców. Tym kapo był człowiek, który kiedyś, przed wojną brał udział w napadzie rabunkowym z bronią w ręku. I właśnie Janusz przytoczył mi do jego ujęcia, gdy pracował w brygadzie na Kilińskiego. Sprawca napadu otrzymał wtedy siedem lat. Teraz — w obozie — ujrzał człowieka, o którym myślał przez cały czas pobytu w więzieniu, któremu zawdzięczał odsiadkę. Jak mówili świadkowie owego obozowego spotkania, kapo kilka godzin pastwił się nad swą ofiarą, aż ją dobił. Zwykłym szpadem.

Dozorcy obozowi na ogół byli sadystami, dobieranymi skrupulatnie przez Niemców wśród przestępców różnego autoramentu. To on dawali komendanturze obozowej gwarancję, że w stosunku do więźniów będą bezlitośni i okrutni.

Z Hirkiem spotykałem się jeszcze kilkakrotnie. Niezmiennie sprawiał wrażenie mocno zajętego. Raz pokazał mi co robił. Z zewnętrznej kieszonki marynarki wyjął kartkę papieru złożoną chyba z osiem razy, a gdy ją rozwinął, mogłem zobaczyć tekst. Były to ujęte w dużym skrócie wiadomości radiowe. Miał taki znajomy dom, gdzie w głębokiej konspiracji wysłuchiwał dzienników brytyjskich i gdzie notował Impo-nował mi swą odwagę, ale dziwiło mnie i jednocześnie niepokoiło, że tak nonszalancko poczyni sobie z tymi notatkami.

Mogliby być bardziej ostrożni — zauważyłem wtedy, zdając sobie sprawę, że już za słuchanie „obcego” radia groziły najostrejsze represje. A cóż dopiero — za współpracę z redakcją konspiracyjnych biuletynów i gazetek...

Jak kilka miesięcy później mówiono, już po aresztowaniu Hirka i osadzeniu w Radogoszczu — gestapowiec przeprowadzający rewizję sam zajął do kieszonki w marynarce i wyciągnął serwis radiowy. Było to na kilka tygodni przed egzekucją w Zgierzu gdzie za napad na niemieckiego żandarma rozstrzelano 150 Polaków. Skazanych na śmierć wywieziono z cel w gestapo, w Kripo, brano z Radogoszcza. A w Radogoszczu siedział również Hirek. I on znalazł się wśród ofiar zgierskiej masakry.

FELIKS BĄBOL

KTO SIĘ NIE ODLICZYŁ?...

„letniej Rzeszy”. Ale nie wszyscy Polacy wy-ciągnęli właściwe wnioski ze zmiennej sytuacji politycznej. Niektórym wydawało się, że okupantami są ci sami Niemcy, którzy pojawili się w Łodzi w okresie I wojny światowej, Niemcy kajzerowscy, a więc ludzie, z którymi można się było — jak przebąkivano — jakoś „dogadać”.

Temu złudzeniu uległ chyba także Mecenas, który tuż po wkroczeniu Niemców do Łodzi zaczął myśleć o wznowieniu wydawania „Kurier Łódzkiego” i „Echa”. I w tej sprawie rozpoczął nawet pertraktacje z władzami. Sugerował podobno wydawanie gazet w języku polskim... Zainteresowało się nim gestapo. Przypomniało sobie, na podstawie kompletów gazet, jakie to artykuły wymierzone w hitlerizm Mecenas i inni jego pracownicy pisali w „Kurierze” i „Echu” już na parę lat przed wybuchem wojny. Mecenas został któregoś dnia aresztowany, a wkrótce potem wywieziony do Oświęcimia. Właśnie z obozu nadeszła do Łodzi zimą 1939 na 1940 wiadomość, że Mecenas „umarł na stojąco”.

Środowisko dziennikarskie rozproszyło się bardzo szybko. Część dzienników — z prasy żydowskiej — uciekając przed koszmarną perspektywą zamknięcia w getcie, opuściła Łódź

Deutsche”, żebym wiedział co i do kogo mówię. Ojciec ze smutkiem w głosie już pierwszego dnia oznajmił mi, że radio Telefunken, które z takim wysiłkiem, bo na raty miesięczne, nabyte tuż przed wojną Niemcy zabrali już w wrześniu, przeprowadzając wśród ludności polskiej gruntowną rewizję.

Któregoś dnia spotkałem Hirka na ul. Andrzeja. Ucieszyliśmy się obaj z tego spotkania. Ciekaw byłem losu wspólnych kolegów i znajomych. Interesował mnie podziemny nurt życia Polaków, jego zaś — wieści z Reichu. Ale Hirek nie miał zbyt wiele czasu na uliczną rozmowę. Bardzo mu się gdzieś spieszyło. Dopiero potem dowiedziałem się, że współpracował z jakimś komitetem redakcyjnym wydającym powielane gazeci. Jego — Hirka — zadanie polegało na słuchaniu radia Londyn i notowaniu najważniejszych wiadomości o sytuacji na froncie. Nie miał więc wtedy dla mnie czasu. Zdążył tylko powiedzieć, żebym następnego dnia o 5 po południu wpadł do Janusza na Żeromskiego.

— Którego Janusza? — zapytałem.

— Kępińskiego. Przecież go dobrze znasz.

Tak, Kępińskiego przypominałem sobie dobrze. Poznałem go już w pierwszym okresie mej pracy w „Echu” i „Kurierze”. Działal w brygadzie pościgowej na Kilińskiego. Był zaprzyjaź-



Stefan Żeromski

mańskiego, — że z tego Towarzystwa można będzie wykreślać pozytywne dla pisarzy instytucje i zadania. Projektuje się pismo, wydawanie książek, ruch ujmujący stosunki z księgarniami.

II.

W czasie swego pobytu w Zakopanem w 1914 r., S. Żeromski spotkał się z przyszłym wodzem wielkiej rewolucji — Leninem. Nastąpiło to w następujących okolicznościach:

Z początkiem lipca 1914 r. — (czytamy we wspomnieniach dr Jadwigi Kowalewskiej-Lypaciewiczowej) — w jasny, błękitny poranek, siedzieliśmy na werandzie w Pionki (restaurator w Zakopanem — przyp. F.L.) — młdej natłoczonej: niż zazwyczaj, bo pogoda pociągnęła ludzi w góry. Był tam spokojny i cichy jak zawsze Żeromski, żywo rozprawiający Reymont, nieodżałowany o wielkiej kulturze i czarującym umyśle pan Kraszewski, wnuk pisarza, kustosz Biblioteki Jagiellońskiej, dyskretnie dowcipny i kastykny nieco profesor Jan Rozwadowski, ja i mój mąż.

Nagle w otwartych oświetlonych stołach drzewach werandy stanął ktoś obcy.

Niewysoki, barczysty, w ciemnym płaszczu, z czapką, wciśniętą na głowę. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się tej nowej postaci, smując najrozmaitsze domysły, kim mógł być. Nie literat, nie malarz i nie poeta. Był to Lenin.

Gdy na chwilę zawiśł w ciszy głos Reymonta, mój mąż, siedząc bokiem do drzwi, obejrzał się. Nagle zerwał się i podbiegł do przybysza. Złoczyli w długim uścisku dłonie, po czym obaj zasiedli przy stoliku wolnym u wejścia. My gwarzyliśmy dalej. Po chwili pożełaliśmy swoje towarzysstwo i przechodząc obok obu panów, pochylonych ku sobie w gorącej rozmowie, mimo woli zwolniłam krok. Wtedy mój mąż przedstawił przybysza: pan Uljanow. Gość wstał, podał mi rękę i bez słowa siadł z powrotem przy stoliku. Pożegnałam obu panów i wyszłam. Przechodząc pod otwartymi oknami werandy wdziałam, że i Żeromski wstał, podszedł do gościa i serdecznie z nim rozmawiał.

W krótki czas potem, tego samego roku, Lenin został aresztowany przez policję austriacką i osadzony w więzieniu w Nowym Targu. O zwolnienie go z więzienia interweniowali podówczas u władz austriackich poeta J. Kasprzowicz, poseł do parlamentu austriackiego Hausner i inni. Interweniował również w tej sprawie S. Żeromski. Jak pisał Walentyna Najdus w książce pt. „Lenin w Polsce”, pisarz porozumiewał się z adwokatami w Nowym Sączu i Nowym Targu. W Zakopanem krążyła zredagowana przez Żeromskiego petycja do władz austriackich o uwolnienie Lenina.

III.

S. Żeromski współpracował z ruchem socjalistycznym. Brał udział w zebraniach radykalnej inteligencji, wygłaszał odczyty w Towarzystwie Pomocy Więziom Politycznym i udostępniał swoje mieszkanie na zebrania działaczy partyjnych.

Na pewien czas pisarz dał się nawet wciągnąć do akcji politycznej PPS. Nie należał wprawdzie formalnie do tej organizacji, ale na skutek stosunków i rozmów z przebywającym podówczas w Zakopanem Józefem Piłsudskim, sympatyzował z PPS i uczestniczył w zebraniach partii. Wziął nawet czynny udział w akcji pieniężnej na rzecz utworzenia siły zbrojnej dla wywalczenia niepodległości kraju.

W małej izdebce na piętrze willi Jordanówka w Zakopanem — czytamy we wspomnieniach S. Żeromskiego (wydanych pt. „Na broń” — przyp. F.L.) — Józef Piłsudski zażądał ode mnie, bym wraz z kilkoma osobami podpisał odezwę, wzywającą cały naród do składania ofiar pieniężnych na broń dla armii, której związki będą tworzone — bym wystosował list do Stanisława Witkiewicza, skłaniający go do podpisania tejże odezwę i bym udał się osobiście do Stanisława Wyspiańskiego i przekonał go o konieczności podpisania się również. Przystałem na to żądanie. Napisałem niezwłocznie list do Stanisława Witkiewicza, który podówczas mieszkał w Louanie (we Włoszech przyp. F.L.), a w parę dni później udałem się do Krakowa dla widzenia się ze Stanisławem Wyspiańskim. Raz tylko w życiu zetknąłem się był poprzednio z podwawelskim poetą, gdy w przejeździe przez Kraków złożyłem mu wyrazy swego hołdu. Toteż gdy zmierzając ulicą Krowoderską do jego mieszkania, skąd poza próg nie wychodził wskutek ciężkiej choroby, gdy myślałem, że mam wzywać do czynu tego człowieka, tak słabego, obciążonego liczną rodziną, artystę, który chwycił umykające ostatnie dni życia, ażeby ucieleśnić ostatnie duszy widziadło, czułem niezmierny ciężar swego postanowienia. Cóż mogło być przykrzejsze nad taką misję?

Wyspiański przyjął pisarza serdecznie i ofiarował na broń dla armii 11 obrazów.

W późniejszym okresie, gdy J. Piłsudski utworzył legiony, działające w porozumieniu z Niemcami i Austrią, Żeromski zerwał wszelkie więzy z PPS. Na próżno wysłany przez Piłsudskiego do Zakopanego kpt. Marian Kukiel próbował nakłonić Żeromskiego do przejścia na stronę legionów. Autor „Ludzi bezdomnych” dał do zrozumienia, iż nie wierzy w skuteczność działań legionów w oparciu o Niemcy i Austrię i dlatego nie może popierać ich ideologii. Od tego czasu, to jest od 1916 r., stosunki między Żeromskim a Piłsudskim i jego oficerami zupełnie oziębiły.

IV.

W 1914 r., na początku wojny, S. Żeromski poznał podówczas już sławnego pisarza angielskiego Conrada. Po przyjeździe do Zakopanego, autor „Lorda Jim’a” złożył wizytę Żeromskiemu. Bardzo wiele mówił o sobie i o swojej twórczości.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

ŻEROMSKI
NA
PODHALU

„Przypominam sobie... — opowiada obecna przy spotkaniu dwóch pisarzy Aniela Zagorska, tłumacz dzieł Conrada na język polski — jak Conrad zerwał się nagle do Żeromskiego ze słowami: „Wie pan, teraz to już jestem nie tylko sławny, ale zaczynać ma być i popularny”. Przyszedł się, że to powiedzenie Conrada zanępiłoby mnie trochę; a nuż Żeromski pomyśli, że Conrad jest zarozumiały? Spojrzałam przedko na Żeromskiego, uśmiechnął się promiennie jednym z tych swoich niezapomnianych, serdecznych uśmiechów i skinął powoli głową”.

A oto jak zrelacjonował spotkanie obu pisarzy Antoni Słonimski: Żeromski opowiadał o rozmowie z Conradem, która miała miejsce w Zakopanem w 1914 r. Conrad chciał przy pierwszym spotkaniu powiedzieć Żeromskiemu coś przyjaznego i aby okazać swą sympatię, spytał go się, czy nigdy nie był marynarzem. — Nie! — odpowiedział trochę zakłopotany Żeromski. — Nigdy nie byłem marynarzem. — Ale pływał pan po morzu? — Nie odbywałem żadnych dalszych podróży. Pływałem czasem łódką po jeziorze czy w Warszawie w Łazienkach. — No, widzi pan — powiedział triumfująco Conrad — od razu to poznałem po pana wyglądzie!.

Okres pierwszej wojny światowej przeżyła rodzina pisarza w Zakopanem w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Spotykaliśmy go często — czytamy we wspomnieniach Jadwigi Jakimowiczowej — stojącego godzinami w ogonku, aby zdobyć coś z tych cennych artykułów żywności dla swego, wówczas chorego, ukochanego syna (Adama — przyp. F.L.). Bywało też, że po odrobnie jakiejś maki czy cukru trzeba było nawet jeździć do starostwa do Nowego Targu. Pamiętam jedną z takich wspólnych wypraw do Nowego Targu po „białą makę”. W drodze do biura do biura, od takiej instytucji do owej i po całodziennych uciążliwych staraniach uzyskaliśmy pozwolenie na 2 kg białej maki”.

Mieszkania, które w czasie wojny pisarz wynajmował na Krupówkach, były pozbawione najskromniejszych nawet wygod. Na inne nie było pieniędzy. Mimo ciężkich warunków, Żeromski nie stronił od pracy społecznej. Jako przewodniczący miejscowego koła Towarzystwa Szkoły Ludowej zreorganizował je na nowo i nie raz sam pełnił w nim dyżury, wypożyczając góralom i robotnikom książki do czytania.

W 1915 r., dzięki inicjatywie pisarza powstała przy Komitecie Narodowym w uzdrowisku sekcja gospodarstwa, której głównym zadaniem było utworzenie drzewnych, krawieckich i przetwórczych warsztatów pracy.

W lipcu tegoż roku pisarz przeżył tragiczny moment w swoim życiu: śmierć ukochanego kilkunastoletniego syna Adama.

V.

Doniosłym w życiu pisarza wydarzeniem był jego wybór na prezydenta Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, w 1918 r. Oto w jakich okolicznościach został (jak później sam wspominał) „dyktatorem” Podhala.

W październiku 1918 r., na wielkim zebraniu publicznym w Zakopanem, powołano Organizację Narodową, której kierownictwo poruczono powszechnie lubianemu S. Żeromskiemu. Jego zastępcami byli prezes Związku Górali Franciszek Pawlica, piastowiec, mjr Mariusz Załuski, oficer legionowy, późniejszy generał i Wincenty Szymborski, przedstawiciel Stronnictwa Narodowej Demokracji. W dwa tygodnie później dwóch oficerów z miejscowego garnizonu: kpt. dr Franciszek Nowotny, późniejszy dyrektor szpitala w Zakopanem i por. Bolestawicz, późniejszy pułkownik, zastępcą komendanta DOK w Krakowie, zawiązało się w mieszkaniu pisarza w willi „Oleńka” na Krupówkach i oddało pod rozkazy nowo powołanej władzy żołnierzy i oficerów garnizonu. Prosił o dalsze zarządzanie dla wojska. Wzruszony do głębi Żeromski podziękował oficerom za ich postawę i oświadczył, iż natychmiast zwoła posiedzenie Zarządu Organizacji Narodowej w sprawie wydania odpowiednich dyspozycji.

Ponieważ Organizacja Narodowa powołana głównie za sprawą Stronnictwa Narodowej Demokracji, była atakowana zarówno przez pilsudczyków jak i lewicę, zwołano powtórnie zebranie obywatelskie, na którym powołano Radę Narodową. W skład jej weszli przedstawiciele zarówno lewicy, jak i Stronnictwa Narodowej Demokracji. Rada Narodowa uznała zarząd Organizacji Narodowej za tymczasową władzę wykonawczą.

Następnego dnia na rynku zakopiańskim odbyła się uroczystość zaprzysiężenia wojska, pracowników instytucji, szkół, poczty, kolei itd. Przysięgę odbierał jako najwyższy zwierzchnik władzy zakopiańskiej S. Żeromski, a okolicznościowe przemówienie z tej okazji wygłosił b. komisarz wojskowy legionów dr Kazimierz Dłuski. W zakończeniu uroczystości zabrał głos pisarz. W swoim przemówieniu nawiązywał do „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego” A. Mickiewicza i mówił o nadaniu chłopom ziemi.

W ten sposób S. Żeromski został wybrany prezydentem nowo utworzonej Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, obejmując władzę również w okolicznych miejscowościach na Podhalu. Pisarz od tej chwili z całym zapalem i poświęceniem oddał się pracy społecznej. Absorbowała go od rana do wieczora, a nieraz i do późnych godzin nocnych. Nie szczędził sił, zapamiętał i czasu dla spraw publicznych. Niemal wszystkie sprawy przechodziły przez jego ręce. Uczestniczył we wszystkich zebraniach publicznych, na których zabierał głos, doradzał, informował, poddawał pod dyskusję projekty i wnioski. Zebrania często przybierały charakter gwałtownych wystąpień.

Na jednym z nich niejaki Leopold Winnicki zaatakował pisarza zarzucając mu zbratanie się z endecją: Żeromski powstał błąd — czytamy we wspomnieniach sekretarza rządu

zakopiańskiego, późniejszego burmistrza uzdrowiska Medarda Kozłowskiego — i odpowiedział. Pioruny szły z ust, oczy rzuciły błyskawice. Zgromiwszy nelojalność przeciwników, scharakteryzowawszy ich błędną politykę podczas wojny, rzucił im w twarz, że nie oni, burżuje, właściciele wili, ale on, pracownik pióra, jest prawdziwym socjalistą... W końcu oświadczył, że składa przewodnictwo. Tak przemawiającego Żeromskiego nigdy nie słyszałem. Wrażenie było ogromne. Ci sami, którzy przedtem krytykowali mówcę..., wznosili entuzjastyczne okrzyki na cześć wielkiego pisarza i obywatela. Powstał jeden z socjalistów, były bojowiec Królestwa i wspomniawszy „Szyjzowe prace” jako księgę drogą polskiemu obywateli socjalistycznemu, prosił Żeromskiego, aby cofnął rezygnację. Do prośby tej dołączyliśmy się i my, i cała sala. Żeromski wzruszony zgodził się”.

Siły zbrojne Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, które zaprzysięgił S. Żeromski, stanowiła m.in. wchodząca w skład pułku strzelców podhalańskich kompania wysokogórska, dowodzona przez kapitana Władysława Ziętkiewicza. Jednostką tą po rozbrojeniu austriackich jednostek wojskowych na Podhalu wyruszyła z Nowego Targu na Orawę. Wiarusi kapitana Ziętkiewicza przyłączyli zajęte miejscowości do Rzeczypospolitej Zakopiańskiej.

Czesi wnieśli protest do Komisji Alianckiej, oskarżając Polaków o bezprawne zajęcie ich terenów. S. Żeromski na polecenie rządu warszawskiego odwołał oddział kapitana Ziętkiewicza z Orawy.

Rzeczpospolita Zakopiańska nie utrzymała się długo. Pod koniec listopada 1918 r. przestała istnieć.

W latach późniejszych pisarz nie raz wspominał o swoich rządach na Podhalu:

Powierzono (mi) niemal „dyktaturę” nad Zakopanem i przyległymi do linkami — pisał w jednym ze swych listów do T. Łopalewskiego w 1925 r. — Sprawowałem ten niezapamiętniany, śmieszny i wznioły urząd przez 11 dni, gdy się mama Austria waliła w gruzy. Zaprzysięgałem uroczystie wojsko, policję, szpiclów, gminę, pocztę i telegraf na wierność nowemu Państwu (...). Mille wspominać te moje przewagi wojenne i dyktatorskie, gdyż, zawierając morze wesołości. Ostatni raz pisarz odwiedził Zakopanem w 1921 r.

S. ŻEROMSKI

- 1) „Lenin na Hall Gasienicowej” — „Głos Ludu” — 1918, nr 32.
- 2) „Żeromski a Conrad” — „Wiadomości Literackie” — 1925, nr 51.
- 3) Rozmowy z Conradem — „Nowa Kultura” — 1937, nr 49.
- 4) „Wspomnienia z pobytu Stefana Żeromskiego w Zakopanem w czasie wojny” — „Nowa Reforma” — 1928, nr 53.
- 5) „Żeromski na czele Rzeczypospolitej Zakopiańskiej” — „Gazeta Warszawska” — 1932, nr 393.
- 6) „Stefan Żeromski. Kalendarz życia i twórczości” — 1961.



Foto: S. Żwoliński

LITERATURA

W których sierpniowy dzień nieoczekiwanie przywołał mnie naczelny informując: — Kolego, jesteście wytypowani na uroczystość do jednego z naszych kombinatów przemysłowo-rolnych. Postanowiliśmy tam wyróżnić kilku pracowników. Szczególnie zastąpiła się jedna z pracownic kombinatu. O niej to pisano w naszych gazetach i to jak pisało! A ten Wojewódzka! Promachos Wojewódzka!

W szczególności wpadła zapal, gdy mówił o Atenach już nie tylko z kombinatów, ale i o tych z pięt swego urzędu. O tym nie tylko ja wiedziałem, ale i wszyscy podwładni. Może dlatego coraz częściej odchodził koleżki, a ich miejsca zajmowały Atenki miejscowe i zamiejscowe. Na razie rozpościerały swe opiekunkę skrzydła nad dyrektorem lub naczelnikiem jakiegoś działu i bez specjalnego zapalu i przemęczania się wdrażały się w obowiązki opiekunek nad prawidłowym funkcjonowaniem kombinatu.

Zbyt pofolgowałem swoim myślom na ten temat, bo przydług i badawczy wzrok dyrektorski zatrzymał się na mnie wydał mi się w tej sytuacji całkiem niepotrzebny, a nawet niebezpieczny, ponieważ mój kompletny brak zainteresowania dla bohaterki z kombinatów mógłby w fatalny sposób zaważyć na wysokości mojej nagrody i krzyża zasługi, o których już dość głośno przebiekałano. Asekurując się na wszelki wypadek przed najmniejszym cieniem na mojej dotąd nieskazitelnej opinii urzędnika powiedziałem głosem wykluczającym nawet najbliższe podejrzenie, wątpliwość: — Obywatelu dyrektore, zaręczam, nie ma wśród nas takiego pracownika, który by nie osiągnął o sukcesach tej nowej Promachos naszych zespołów. Każdy już zna imię Teresy i cieszy się z jej osiągnięć, jak z własnych.

Strzeżenie, fatalne pudło. Wystarczyło spojrzeć na mnie dyrektora. A miał minę złego kocura, któremu przypadkowo nadepnięto na ogon. Wstrzymałem prawie oddech. Powtarzałem w myślach: „I co z tego wyniknie? Co?” Ku memu zdziwieniu dyktor natychmiast opanował się. Po raz pierwszy byłem świadkiem, jak naczelny zdawał egzamin dyktorski jako wychowawca swoich podwładnych. Powiedział spokojnym głosem, lecz ostatnie zdanie było jeszcze zaakcentował: — Pomyślił się kolego, ale to nie szkodzi. Do odznaczenia jest przedstawiona nie Teresa, lecz Anna Stefania Bosza. Trochę późno, kolego, zorientowaliście się.

O niemiastem. Te wymuszone dwa imiona i nazwisko zwróciły mi uwagę w czas przeszły. Jakby runął na mnie przed pełającą tam. Nie potrafiłem panować nad moimi myślami, poddawałem się. Niosły mnie z piekielną szybkością i siłą, pchnęły na Monte Solare, zakotwiczyły wokół brązowych pinii, pod marmurową tablicą z wrytą na niej poezją Almy Sirausy. Stawili przed carabinierem. Stałem z pumeksem w ręku, po który specjalnie poszedłem na południową część wyspy. Moje ręce obsypywał marmurowy pył od ścierania płyty. Na niej to współrodaczka dwójga imion Anna Stefania uwieczniła się stając się współautorem pięknego wiersza o wyspie. Tłumaczyłem się gesto przed carabinierem, podnosiłem mu do oczu starty już do połowy pumeks, wskazywałem na wieżę kościoła San Michele obok którego kupilem wczoraj ten autentyczny kawałek lawy. Prawdopodobnie uwiertzył, bo nie kazał natychmiast iść na posto di pubblica sicurezza, lecz wytrzymał mnie w upale prawie całą godzinę. Ociekałem potem i wstydem. Wyzwał mnie od psuów ich narodowych pamłatek, od starych chuliganów, wreszcie za te lekcje obywatelskiego wychowania kazał najsłodszy zapłacić czterdzieści dolarów.

Mimo wczesnej pory znalazł się jakiś przygodny doradca. Wykrzykiwał: „Nie płać! Głupi płaciłby! Zupelnie dobrze w areszcie! Co to jest! — Miał przy tym taką minę, jakby to on

musiał zapłacić czterdzieści dolarów, nie ja. Nieznajomy swoją obecnością jakby chciał wyrzucić presję na moją decyzję. Stał jednak w bezpiecznej odległości od nas. Byłem mu wdzięczny, że solidaryzował się ze mną, to jednak nie mogłem mu wy tłumaczyć, że ta jedna doba nawet w najbardziej luksusowym areszcie może mnie kosztować dziesięć razy więcej, bowiem byłbym zmuszony podróżować dalej na własny koszt, a wobec takiej alternatywy oczywiście z rady życiowego przechodnia obywatela z aresztem nie skorzystam.

Zapłaciłem. Przygodny doradca załamał ręce, stał tak chwilę i odszedł. Wkrótce odszedł i carabinieri pozostawiając mnie z wrzobioną nienawiścią do

dekorował tego babusa odznaką zasługi.

Moja decyzja była nieodwołalna. Jakby trwał jeszcze egzamin dyktorski. Spokojnie, równiutkim głosem tłumaczył: — Kolego, dobrze pan o tym wie, że wszelkie wnioski i zastrzeżenia składa się na ręce przewodniczącego rady zakładowej i przed ostateczną decyzją.

Nie mieliśmy już sobie więcej nic do powiedzenia. Wyszliśmy.

Do chwili wyjazdu wymyślałem różne sposoby zemsty i tym ciągłym wysiłkiem emocjonalnym i psychicznym byłem tak zmęczony, że po powrocie z pracy rzucałem się na tapczan i zasypiałem.

W końcu jechałem bez skrytyzowanego planu zemsty, z teczką na

rance. Gdy postawiłem jej podobne pytanie jak poprzednio swoim znajomym paniom, odpowiedziała: — A wyrzyłabym, a wydrapałabym, a postawiłabym sobie i takim innym jak ja pomnik, a uwieczniłabym siebie, bo takim jak my nikt nie stawia pomników, nikt nie pisze o nas. Śmiała się i od śmiechu Mariolki robiło się ciepło i radośnie, i mroczna, kielista nienawiść rzęda we mnie, rozpuszczała się, ale to tylko w bliskości Mariolki.

Takim dziewczynom jak Mariolka z jaką satysfakcją przypinałbym do piersi odznakę „Zasłużonego Pracownika”, ale nie takiej zgadze jak Anna Stefania.

Droga z nowo położonym asfalem przebiegała głównie obok pól uprawnych, czasem zagajników. U jej końca kombinat przemysłowo-rolny. Brama przystrojona wstęgami, napisami, fotografiami. Gdzieś w głębi klubu, w klubie podium, stół przykryty uroczystym sukniem, za stołem ci znaczni, na sali pracownicy. Pracownicy potwierdzają oklaskami swoją obecność, lecz nie radość. Nie ma co się ludzi, bo fluż potrafił się cieszyć z cudzych sukcesów. Niestety, świętych już dawno nie ma, a żywcem pocziwin coraz mniej.

Jest jednak inaczej. Wszystko przygotowane do uroczystości na powietrzu, na dość reprezentacyjnym podwórzu. Brak podium, stół nie przykryty sukniem, na nim skromny bieżnik, bukiet z kłosew i polnych kwiatów, kilka krzeseł, a dla pracowników kombinatu po prostu ławy. Już nawet sora gromadka siedzi na nich. Wśród nich kierownik gorzelnii z żoną Barbarą. Przed paru laty pracowałem z nim w zjednoczeniu. Przypuszczałem, że od nich dowiem się czegoś więcej o Annie Stefani. Chciałem zobaczyć Annę, spotkać się z nią zanim wypukli pierś do odznaki, a ja zza stołu podpnie się i najpierw wygłoszę rozwodzoną przemowę o doniosłej roli działalności takich zasłużonych kobiet dla gospodarki ogólnonarodowej, żeby w końcu dotrzeć do sedna „Za pozytywne wyniki w próbach ulepszenia jęczmienia...”. Tyle tylko wystarczyło, żeby Anna Stefania została bohaterem kombinatu? Z tego wynika, że wcale „nietrudno” nim zostać. Mimo to Anna Stefania nie będzie nim. Postanowiłem, dałem sobie słowo.

Gdy się witałem z kierownikiem gorzelnii i jego żoną i już po chwili pani Barbara mówiła rzeczowo o osiągnięciach Anny Stefani jako hodowcy nowych odmian jęczmienia, czulem, że moje uczucia nieodrzeczni i zakrzęśliły i trwały tonie. Jeszcze bardziej, gdy gorzelnia po prostu stwierdził: — Mówię ci, fajna dziewczyna.

Poczułem raptiem niepokój, a nawet zagrożenie.

„Wiec to nie tłumok jakiś, wiec to nie jakaś... wiec to...”

Gdy wciąż tkwiłem w miejscu, zawiedziony cnotami miejscowej Ateny wypalając papierosa po papierosie, na motocyklu zjechał chłopak z rozwichrzonymi włosami, czerwony od impetu powietrza. Zatrzymując motocykl przed kierownikiem gorzelnii mówił pośpiesznie: — Panie kierowniku, niech pan powie dyrektorowi, że pani Bosza nie przyjdzie. Powiedziała, że nigdzie się z pola nie ruszy. Gęgawy spładowały całe jej pole za iglakiem. Jakby grał przeszedł po nim — dodał od siebie Kłosy z korzeniami — uczynił gest ręką jakby wsadzał do ziemi wyimaginowane kłosy.

Kierownik bez słowa opuścił swe miejsce i szedł do dyrektora sadowatego się już za stołem.

Cieszyłem się jak szczeniak. Los mi wyraźnie sprzyjał. Wiedziałem jedno, że chce jak najprędzej zobaczyć Annę Stefanię w jej porażce. Na polu jej kłeski. Zaproponowałem chłopakowi: — Dam setkę. Zawiń natychmiast do Anny Stefani.

— No to już, siada pan!

Pojechaliśmy pełną drogą. Jeżeli kiedykolwiek zgubiłem swój własny rytm biologiczny, to właśnie na tej

kamienistej drodze. Czulem, że każda część mego ciała nabiera jakiegoś zwariowanego rytmu, moje myśli łamią się po liniach zygzakowatych, a moje słowa ulatują z wiatrem. Trzymałem się kurczowo pleców chłopaka. Tuż przed sosenowym lasem wykrzyknął: — Panie dyrektorze, skróćmy drogę, dobra?

Odpowiedział za mnie: — No, to gra! Jedziemy na przelaj przez las! Tylko niech pan dyrektor trzyma kolana wąsko! Można odstrzelić na kio-rejs sosen!

— Co to znaczy odstrzelić? — Odkrzyknął prawie radosnym głosem: — Znaczą zostawić za sobą!

Trzymałem kolana wąsko i wypatrywałem szerszego prześwitu pomiędzy drzewami. Nareszcie pole, nareszcie nogami na ziemi. W ten sposób chciałem jak najszybciej przywrócić równowagę memu ciału. I nareszcie mogłem pomyśleć spokojnie i z ogromną satysfakcją: „Kochane gaski. Gotów jestem synać wam kwintal pszenicy lub jęczmienia za płacz Anny Stefani. Bogosłowne stadko plądrujące jej doświadczenia pole”. Chłopak tłumaczył rezolutnie: — Widzi pan tamten las? To jeszcze za nim. Dalej nie mogę jechać, uprawy.

— Przecież to ryzyko — poprawiłem go.

— Z panem to taka gawęda jak z moim ślepyim dziadkiem. Niech się pan dyrektor przyjrzy.

Zostaw już tego dyrektora! Ale przyjrzałem się. Przede mną rozciągała się platanina żółtej kłosew, tu i tam leżało wyluskane ziarno.

Mniej już entuzjastycznie pomyślałem o gęgawach.

Annie Stefanię dojrzałem przy kępie zboża na kształt sнопa. Siedziała pod nim z głową głęboko pochyloną, rękami opasywała kolana. Pomyślałem: „Może tak wyglądała Atena Promachos, żałosna i splakana w chwili zrozumienia swej porażki zadanej przez przebiegłych Atenycków. Odbarżając ją przydomkiem „Bezskrzydłej”, porwał lotu i w ten sposób związał na stałe ze swoim miastem. Tak samo była młoda, silna i obdarzona”.

Zbliżyłem się.

— Anno Stefanio — powiedziałem półgłosem zatrzymując się.

— Anno Stefanio — dotknąłem jej gołego ramienia zbrazowanego od słońca.

Nie podnosząc głowy i nie patrząc na mnie nawet przez sparte osłaniające ręk straciła niecierpliwym ruchem moją rękę ze swego ramienia.

Upamiętnięcie...

— Anno Stefanio — jestem tu po to, żeby pania udekorować odznaką zasłużonych. Nie kłamię. Niech pan wreszcie podnieść głowę i spojrzeć.

Położyłem odznakę w opakowaniu na kolanach placzącej. Po chwili pudełko z zawartością ładowało na polu doświadczenia. Reagowała jak zawiedzione i głęboko dotknięte dziecko.

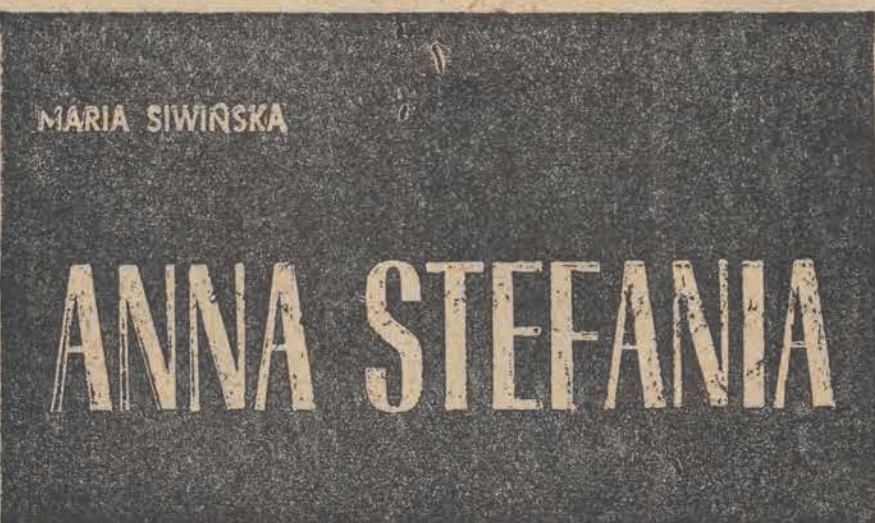
— Anno Stefanio — rozpocząłem z Innej beczki — szukałem panią przez dwa lata i nie przywiozłem, że panią tu odnajdę i właśnie taka.

Posłyszałem jej głos zniekształcony żalem, lecz nie mogłem zrozumieć słów. Pochyliłem się. Obserwowałem palec Anny wdrążający do oczu. Osuszyła nimi łzy, potem uniosła nieco głowę, uśmiechnęła się i znów pochylała się. W ponownym pochyleniu, w ponownym cieniu twarzy byłem pewny, że się uśmiechała. Jakby raz wzbudzony uśmiech miał fazę stałą i był niezależny już od Anny. Nagle wydało mi się, że szukałem Anny Stefani nie przez dwa lata, ale od początku swego istnienia, tylko szukałem inaczey.

— Anno Stefanio — łagodnie starałem się uwolnić jej twarz z osłaniających rak.

Uniosła się z ziemi i odwracając się ode mnie szła ku następnej kępie ocalałego jęczmienia.

Schylłem się po pudełko z odznaką i poszedłem za Anną Stefanią.



nieznajomej rodaczki, która tu podczas swej bytności zabawiła się w drapankę na marmurowym pomniku, zamiast to uczynić na zaczerpionym papierze pokrytym woskiem. Moja nienawiść nieco rozwodniła się z tej prostej przyczyny, że dzieliłem ją między tych dwójga, Annę Stefanię i carabinieri. Na pewno z tej racji wypadłem lepiej w ocenie San Antonio, popatrującego z cokołu przez zieleń na niższą partię wyspy. Ani wtedy ani później nie stać mnie było na wspaniałomyślne przebaczenie tym dwójgu, nie mogłem również zapomnieć. Wyniosłem tylko nowe doświadczenie. Na własnym przykładzie poczyniłem pewne odkrycia w skomplikowanej psychice ludzkiej.

Wyjaśniły mi się w małym dłamku przyczyny konfliktów prowadzące często do krwawych zemst. Tamta chwila, w której doznałem wstydu tkwiła we mnie, pozostała trwałym śladem w mej pamięci. A na razie przyrzekałem sobie: „Niech cię tylko dosięgnie, bosą czy obutą, piękna czy szkaradna, młoda czy stara, obojętnie, zapamiętasz mnie na całe życie, a najmniej na tyle lat, przez ile ja będę nosił w sobie ten kobrzy jad. Żeby cię tylko dosięgnąć, uzdlić, żeby go z siebie wycisnąć i poczuć się znów wolnym, takim gdy wkraczałem w ten kraj słońca, gdy jechałem moim busem nad prostopadłym brzegiem zatoki jakby odgrabianym od stalego kontynentu. Wtedy mógłbym startować nieuleknioty i lekki w błękitną przestrzeń z tymi tchórzem podszytymi współpasażerami, którym pobierało wokół nosa na widok braku zabezpieczającej bariery via Orlandi biegnącej skrajem przepaści. Takie było wtedy we mnie uniesienie, takie oczarowanie. I jakim marnym byłem detektywem — wyrzucałem teraz sobie, że dopiero przypadek, ślepy los zetknął mnie z Anną Stefanią za parę dni. Lecz wiedziałem na pewno, że nie będę dekorował krzyżem tego babusa i nikt go nie będzie dekorował. To było moje ostateczne postanowienie, zapłata za te dwa lata.

Głos dyrektora wrócił mi rzeczywistości: — Kolego, należy wygłosić obojętnościową przemowę. — Obywatelu dyrektore, nie będę

tylnym siedzeniu z zamkniętym w niej pudełkiem z krzyżem. Liczyłem na to, że już sam widok Anny Stefani wzbudzi we mnie złe uczucia i one z kolei będą motorem do nawiąsiewiczzej formy zemsty. Wiedziałem tylko tyle, że podstęp skrzydła tej pegeerowskiej Promachos i tego aktu dokonam choćby wszyscy byli przeciwko mnie. I co najdziwniejsze, sam wierzyłem święcie, że stać mnie w decydujących momentach na wyobraźnie dobra i zła. W tym wypadku życzyłem sobie najgorszej, najbardziej czarnej.

Dotąd nie mogłem w swej wyobraźni stworzyć jej portretu. Przeglądałem się długo i uważnie kobietom współpracującym ze mną, zadbany mi, kreującym się na modelki z wilyrny fryzjerskich lub z erasopism, pełnych pretensji do świata, agresywnych. Przypuszczałem, że tylko takie mogłyby się zdobyć na podpis na obcym pomniku kultury upamiętniając w ten sposób swój pobyt. Nie posadziłbym o to na przykład kasjerki, czy też swej gospodyni. Były zbyt surowe dla innych, lecz nie mniej wymagaly i od siebie. Nigdy nie podejrzewałbym znajomej bibliotekarki, mimo że zawsze była gotowa do śmiechu i zabawy. Uważałem, że już sam zawód bibliotekarki wykształca grubo społeczną prawie wzorcową, jakby kształtowaną przez jakiś gen zawodu bibliotekarskiego.

Zazwyczaj zniecierpliwione koleżanki biurowe moim wpatrywaniem się pytały: — Dlaczego pan tak patrzy na mnie?

Odpowiadałem zapytaniem: — Wyrzyłaby pani swoje imię i nazwisko na jakimś dajmy na to pomniku kultury?

Oburzaly się ładnie i mniej ładnie i prawie każda odpowiadała jednakowo: — No, wie pan co! Coś podobnego! Ma pan pomysły!

Wypowiedzi koleżanek z biura i w ogóle innych, znajomych pań utwierdzały mnie w przekonaniu, że mój niepozytywny bohater musi pochodzić z głębokiej wsi. Chociaż nie tak dawno te ugruntowane przeświadczenia zachwylały wypowiedzi młodziutkiej Mariolki, bufetowej w uroczej kawia-

Oczy suche. Ręce rozbiegane.
Uśmiech niepodobny do uśmiechu.
Bywa kochana.
Wszyscy odchodzą.
Nawet wiersze odwracają się od niej, przeczuwając kłeskę.
Zawsze przed tym samym lustrem.
Zawsze w pokojach przechodnich.
Mówi:
Nie — tak. Nie — tak.
Bez znaczenia. Jej głos w ciemnościach brzmi jak zachrypnięta wyrocznia.
Ale ściany nie chcą o tym słyszeć.

Poszarszała od ognia który się wypalił.
Wyblakła od czekania nie wiadomo na co.
Przestała pisać
pożegnania na wszelki wypadek, gdyby ktoś przyszedł.
W jej samotności jest miejsce na jedną osobę.
Pędzą pociągi, pędzą pociągi,
łomocą w pustych domach serca kobiet.
Martwią się
i pokrywają kurzem.

KOBIETA TEN KTO ZA MNĄ IDZIE

Jeżeli ten kto za mną idzie jest moim bliskim na przykład bratem albo dawnym kochankiem albo jeżeli patrząc na mój chwiejny krok pomyśli że z nią znowu pije ból się przegrzywa jeżeli słysząc że mówię do siebie przystanie przerażony że jestem na pochylej kładce wprost do rzeki na dziesiątym pięttrze samotności jeżeli słuchając moich słów zacznie krzyczeć i uratuje mnie przed szpitalem albo więzieniem albo jeżeli idzie za mną w rytmie cienkich obcasów obserwując lepką pajęczynę napisów babie lato przemijanie pór dnia które w końcu zwały się w czarną noc i nie obciążają niczego i nawet ulica jest podobna do wszystkich

jeżeli ktoś za mną idzie proszę niech to będzie brat albo poeta też przyjaćiel ale jeżeli idzie to na pewno nie dlatego żeby coś powstrzymać nie dlatego żeby coś wziąć na siebie bo co on może — zniszczyć albo tylko nie być

EWA FILIPCZUK

OGRÓD UDRĘCZEŃ

Ogród jest pełen cieni nieczytelnych tablic i mówi gorączkowym rozdręganym szeptem Przyłóż głowę do ziemi Zaraz noc odejdzie Wszystkie leki się rodzą gdy zapada mrok więc zanim zacznie świtać prędko zdejmij skórę W ogrodzie udręczeń żyły aorta i krew kiedy spłynie zrozumiesz cichy szelest ziemi która do swego ogrodu przerażonych wyzywa

8 ODGŁOSY

„Jestem szczęśliwy, wiedząc, że w tej Francji, którą kocham od dziecka, jest człowiek i artysta tak szlachetny jak Romain Rolland” — napisał kiedyś Maksym Gorki.

Wiesci przygotowanych do tego przedstawienia kazały od kilku miesięcy. Ciekawość rosla, a naprawde oczywiste bylo tylko to, że **Roman Kłosowski** jest aktorem stworzonym do kreowania postaci tytułowego bohatera. Zrozumiałe obawy budziła trudna, jak w przypadku każdego aysziedzi literatury światowej, sprawa przystosowania tekstu o charakterze wybitnie narracyjnym do potrzeb sceny teatralnej.

PROZA

Oczywiście, proszę nie traktować tej uwagi tak, że pisarze — wróble w kontaktach autorskich z czytelnikami, nie śpiewają pięknie w swych książkach. Ba, tam mogą być nawet słówkami, tym nie mniej w innej twórczości niż poezja czy proza, w potocznej rozmowie, której bliskie są

OPowieści W ŚWIETNYCH RAMKACH

Z Janem Huszcza jest inaczej. O czymkolwiek by nie napomykał, mówi językiem jednorodnym. Nie ma w jego piarstwie wartości niższej, co znówu nie wyklucza, że wszystko spod jego pióra ma jednakową rangę, nie jest omyłką.

Zresztą nie jest Huszcza osamotniony. Jarosław Iwaszkiewicz według mego smaku jest niedoścignłym ideałem tak widzianej jedności piarstwa. Najulotniejsza notka, list, wywiad zapisany i przeprowadzony „na żywo”, ułamek wypowiedzi, ma u niego wartość

TEŚCI W RAMKACH

„Opowieści w czarnych ramach”, bo o nich tu mowa, autor w podtytuł nazywa: o skruchy, epizody, szkice. W tym dookreśleniu informuje czytelnika o zawartości książki, ale zarazem jakby próbował uskromnić tytuł. Niepotrzebnie, bo okrucy te są wyskiej próby. Pokazują, iż autor „Pana Gracjana i innych” zna literaturę i literatów od podszewki. I o tym właśnie w sposób zajmujący językiem posładającym poczu-

Roman **Glowski** w tytułowej roli najbardziej chyba znanego dziś na świecie Burgunda, zaprezentował bogatą gamę środków aktorskich wyrazu, tworząc postać wielowymiarową i skrzężącą się wszystkimi odcieniami głębokiego czowieczeństwa. Był rubaszny i kłiwly, wesół i radujący się wszystkim co piękne, i zatroskany ludzkiem nieszczęściem przede wszystkim zaś był pogodnie znoszącym wszystkie skierowane weń przez los ciosy „niepoprawnym optymistą”, a zatem był po prostu Colasem Breugnon. Myślę, że rolę tę artysta może wpisać na konto swoich najbardziej znaczących osiągnięć.

EWA PANKIEWICZ

Jan Huszcza: Opowieści w czarnych ramkach. Wydawnictwo Łódzkie 1979.

Ruch w łódzkiej plastyce nieustanny. Po wcześniejszych i obecnych pokazach sądząc, przebijają się do światła nowe, ciekawe propozycje. Kilkakrotnie dał o sobie znać Andrzej Bartzczak. Dynamiczne i drażniące „pejzaże wnetrz” nie tylko atakowały widza precyzyjną organizacją przestrzeni, lecz prowokowały do wcale ostrego dialogu z autorem, który świadomie dyktował spór jako jedyną formę kontaktu. I chyba dobrze, gdyż wreszcie zaistniała możliwość autentycznej polemiki w sprawach ważnych, może nie zawsze formułowanych tak, jak uczynił to A. Bartzczak.

Artysta operuje głównie mocno zróżnicowanym walorem zieleni i szeroką gamą czerwieni. Drażni niespokojnymi rytami i gasi je gdzieś w przepaściach tła. Postacie zawsze na pierwszym planie, jakby przy

samej rampie mrocznej sceny. Wszystkie — jaskrawe, emanują stężonym światłem, niby rozżarzone bloki stali — grzeją, ale mogą też i sparzyć. Zmienność napięć, kontrast barw, powaga i żart, to chyba główne wyznaczniki tożsamości płócien Mikołaja Dawidziuka. I ta zrównoważona linia ludzkich figur doprowadzona prawie do sztuczności, a także logiczna, czytelna kompozycja całej płaszczyzny. To również daje się zauważyć po pierwszym oglądzie. Przy całej swobodzie wypowiedzi, artysta wyraźnie kontroluje przebieg akcji tworzenia, uświadamia nam, co, co, wydaje gestem zaledwie, pojedynczym znakiem, ma swoje uzasadnienie w kontekście całego dzieła. Można to nazwać dojrzałością warsztatu, znakiem

talentu czy żmudnej pracy. Owszem, ale też, ku czemu można się z pewnością przychylić, jest to przejaw rzetelności i traktowanie serio partnera, jakim jest odbiorca. Nie jest to najczęstszy spotykana cecha w dzisiejszej plastyce (i w innych sztukach także, poezji na przykład). Jeśli więc tak traktuje M. Dawidziuk swój twórczy mus, odbiór też nie może być inny. Piszący te słowa chce być traktowany serio — chce sensownego dialogu, przyzwolonej formy, chce uczestniczyć w przegrodzie, z której wynika nieco więcej niż zabawna sztuczka z rozprawdaniem po płótnie wesołych kolorów czy komputerowych bawidłaek. Provokowany do wypowiedzi o swojej twórczości artysta, jakby się zdziwił. „Twórczość? To jest po prostu kawałek mojego życia”. Nie zarecając dosłowności i tego stwierdzenia, to konsekwencje ujawniły obrazy. One też dają podstawę mniemać, że jest w nich to właśnie, co pozwala każdemu artystyce wyjść z tej codzienniejszej współczesnej plastyki. Nie tylko łódzkiej.

W malarstwie Mikołaja Dawidziuka można znaleźć i treść naszego dnia, i życzliwy gest porozumienia, ale głównie pasję, wobec której nie da się przejść obojętnie. Pasję artysty i pasję człowieka, który koniecznie chce mówić z drugim człowiekiem. Może dlatego umowne postacie w obrazach Dawidziuka prawie wyobrazają się poza nasycone do ostateczności tło. Czyżby pilno im było zmieszać się z tłumem drepącym za swoimi strapieniami? Na to wygląda. I to warunkuje humanistyczny sens malarstwa Mikołaja Dawidziuka.

MICHAŁ DALECKI

To niekorzystne dla dydaktyki literatury zjawisko znalazło swoje potwierdzenie w badaniach naukowych nad recepcją dzieł literackich w szkole. Okazało się bowiem, że o ile w latach 60-tych aktywne uczestnictwo w kulturze było równoznaczne w świadomości młodzieży szkolnej z lekturą książek, to już w połowie lat 70-tych nastąpiło rażąco zawężenie motywacji czy-

Wobec takiej jednostronności procesu nauczania, skierowanego na treści nauczania, usiłowano na różnych etapach rozwoju dydaktyki literatury podporządkować ją dydaktyce ogólnej i pedagogice, co w odczuciu teoretyków problemowego nauczania i uczenia się literatury powinno gwarantować równowagę między przedmiotem (treści nauczania) a podmiotem (uczeń).

Z drugiej strony trzeba mieć na uwadze fakt, że nadużywanie problemowego nauczania i uczenia się literatury może doprowadzić do wielu nieporozumień. Zastąpienie „literaturoznawczego” układu: nauczyciel — tekst, układem: uczeń — tekst, spotęgnowało na przełomie lat 60-tych i 70-tych wiarę w nadzwyczajne

Realizacja tych jakże złożonych celów kształcenia Literackiego jest możliwa, zdaniem prof. dr Wojciecha Pasterniaka, dopiero po wprowadzeniu do praktyki szkolnej trójczłonowego układu: nauczyciel — uczeń — tekst, funkcjonującego w dydaktyce literatury pod nazwą systemowego modelu nauczania i uczenia się literatury. Fundamentalną zasadą tej teorii jest twierdzenie, iż poznanie powinno być dostosowane do struktury przedmiotu poznania. Jeśli zatem w nauczaniu problemowym uczniowie rozwiązują jednostkowe problemy, to w procesie systemowego nauczania i uczenia się literatury rozwiązywać powinni uporządkowany

Teoria czynności dydaktycznych nauczyciela polonisty opracowana przez prof. dr W. Pasterniaka na gruncie naukowej dydaktyki literatury potwierdza słuszność tezy, iż nauczanie literatury nie jest tylko i wyłącznie odmianą sztuki scenicznej, bowiem jest to zespół trzech układów czynności: diagnostycznych, motywacyjnych i sterujących. Teoria systemowego nauczania i uczenia się literatury sprawdzona w praktyce szkolnej prowokuje wręcz nauczyciela do twórczego współuczestniczenia w procesie edukacji polonistycznej młodego pokolenia.

Nauczyciele trudno przyjmują nowe teorie nauczania, ponieważ obawiają się, że ich postępowanie dydaktyczne może pociągnąć za sobą nie zawsze pożądane efekty co mogłoby obniżyć wypracowywany przez lata prestiż zawodowy. Ta większość, choć teoretycznie przekonana o wartościach nowych teorii, czeka przeczornie na wyniki poczyniń odważniejszych jednostek, gdyż mają prawo sądzić iż najpewniejszym kryterium wartości teorii dydaktycznej, jest wytworzona w myśli jej założen rzeczywistość szkolna. Toteż nauczyciel, podejmując próbę wprowadzenia do procesu nauczania i uczenia się nowych zasad organizacji pracy dydaktycznej, nie powinien obawiać się ryzyka wakkulowanego przecież w cenie postępu. W istocie rzeczy chodzi głównie o to aby uniknąć sytuacji, w której nauczyciel odrzucił dotychczas wykorzystywane zasady pracy nad dziełem literackim, a nie opanowawszy nowych, zacznie pracować według sobie tylko znanych teorii.

JANUSZ MARCHEWA

Ponura tajemnica Fedory, śmierć, która stanowi nadrzędny motyw filmu, nostalgiczna

Świat starych filmów był sztuczny — w „pamiętniowej sekwencji z plaży „Ledy”: naga Fedora w sad awce, wśród lilii wodnych; nagość Fedory sztuczna jak sadzawka i lilie.

Lata trzydzieste, czterdzieste
w kinie amerykańskim, czasy
Astaire'a i Rogers. Garland i

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Nasuwa się z miejsca skojarzenie z powieścią Tomasza De Lampedusa „Lampart” i oamtym na niej filmie Luchino Vis-

Klucznik, który w pierwszym momencie opisuje się karabeli, tylko by zaspokoić kaprys u mierzającego Hrabiego, a spacer po komnatach pałacowych traktuje w kategoriach raczej żartobliwych, nagle doznaje jakby oświecenia. Prostuje się, nabiera godności w ruchach i okien gospodarskim, nowego dziedzica, toczy po ścianach pałacu

Sama Fedora jest również two-
rem niemateryalnym – filmo-
wym widmem Rzeczywistości.
filmu Wildera wynika ze spo-
sobu istnienia Fedory. Bowiem
w życiu wielkiej gwiazdy nad-
chodzi moment, gdy jest ona o
wiele bardziej postacią ze
świata fikcji, niż realnie ży-
jąca istota. Fedora jest kon-
sekwentna. Swoją sytuację do-
prowadza do absurdu – brnąć
z determinacją w zaulek, z
którego nie ma innego wyj-
ścia niż śmierć. Dopiero wspani-
ały pogrzeb w atmosferze
sentymentalnego kiczu (dzy-
niędszych walcicielek, mu-
zyka, obryzmie wińców kwi-
tów) i odejście równie tajem-
nicie jak jej życie – mogą u-
wolnić Fedorę od zobowiązań
wobec własnego mitu. Samobój-

Gable'a, Crawford i Taylora — to lata młodości fikcyjnej Fedory, ale również autentycznego Williama Holdena (w roli producenta), a przede wszystkim obecnego od ponad czterdziestu lat w kinie — Wildera. Ich młodość jest realna, choć miniona, prawdziwa, choć w tak sztucznym świecie. Sztuczność kształtowała ludzkie losy, decydowała o zwiastach życia. To co minęło bezpowrotnie w kinie: wiara w film jako antytezę zwyczajności świata realnego, przekonanie o potrzebie miotawczej roli kina, przywiązanie do rzemieślniczego perfekcjonizmu — dla Wildera i jego ekranowego alter ego — Holdena było zasadami podstawowymi. „Nauczaliśmy się produkować filmy z wyszukana-

Zabrzmi muzyko, co jak sen upajasz — mówi romantyczna Tytania w IV akcie „Snu nocy letniej”, a realizacja popa odprawiła jej „ślad”. Sięgnij, młodo, po te akordy awertury Mendelsohna do Szekspirowskiej teorii rozpoczęty koncert prowadzony przez Tadeusza Wołoszewskiego. Ten utalentowany dyrygent, absolwent Warszawskiej PWSM w klasach wiołonceli (Andrzej Okiś) i dyrygentury (Stanisław Wiślicki), wystąpił po raz pierwszy na łódzkiej estradzie już jako laureat II nagrody na ubiegłorocznym Międzynarodowym Konkursie Dry-


nych, lecz z drugiej strony wyrazistość planów pozwoliła instrumentom solowym zabrznieć pełniej i soczyście, m. in. świątna partia tuby w wykonaniu Jana Pniaka.

Solistą koncertu był Łaszlo Baranyai, pianista węgierski, w którego wykonaniu usłyszeliśmy Koncert fortepianowy a-moll op. 54 Roberta Schumanna Impresjonizm, będący w coraz większym stopniu składnikiem muzyki romantycznej, fascynujący Mendelssohna nowymi środkami wyrazu, przebrał a Schumanna formę bardziej wyrafinowaną: nastąpiła dezintegracja struktury klasycznej na rzecz kalejdoskopowej formy inspirowanej poezją i malarstwem. O znaczeniu tematów i części koncertu decyduje teraz nowy subiektywizm — intym-

JACEK KRAKOWSKI

„Klucznik” to sfabularyzowany obraz dziejowej zmiany warty, Istotną sceną w filmie Marczewskiego, który dobrze

WEADYSŁAW
ORŁOWSKI

III. C

ZABRZMIJ, MUZYKO, CO JAK SEN UPAJASZ

gentów im. G. Fitelberga w Katowicach. Młody (ur. 1952 r.) dyrygent – prowadzący uwerturę – jeszcze młodszego, jakby nieświeżego kompozytora – bojącego, słabego muzycznie – odbił od zszeksprowskich postaci – czując głębokiego wrażenia, jakie wywiera natura na subtelny romantyka, wydawać by się mógł najwłaściwszym wykonawcą tej fantastycznej, pełnej delikatnych barw orkiestrowych muzyki letniej nocy, być może najlepszego dzieła Mendelssohna.

Tymczasem – sen się gdzieś ulotnił. Usłyszeliśmy energicznie, może nieco zbyt szybko poprowadzoną uwerturę o beethovenowskim zacięciu. Przystąpił czar ten muzyki pełnej, tak charakterystycznej dla Mendelssohna, lirycznej „Elfenromantik”.

Być może nie bez wpływu na ostrą konturę tego wykonania pozostaje fakt dyrygowania przez Tadeusza Wojciechowskiego spektaklami operowymi w warszawskim Teatrze Wielkim Owa „teatralność” sprawiła, że odczuwano się brak, tak tutaj niezbędnych, subtelnych zróżnicowań dynamicznych.

ność i wybujała emocja, kapryśna zmienność nastrojów, marzenia i rzeczywistość... Wiele zabrakło muzyki, co jak się upajać, co znów zostaliś dość nieprzejawnie przebudzeni.

Od początku Koncertu zaczęły się ścierać ze sobą dwie koncepcje: dyrygenta — witalna, oszczędna w wyrazie, konsekwentnie przeprowadzona do końca i pianisty — mdła i nijaka. Owo intymne, dziecinnie proste Intermezzo, powstałe wraz z finałem pięć lat po napisaniu i części, uciierało przy tym najbardziej. Słuchaliśmy świetnie prowadzonej orkiestry (piękna partia wiołonczeli) i przeskakadżająca jej swoja pozabawiona polotu gra Baranayałowa. „Nie potrafię skomponować koncertu dla wirtuozów, muszę obmyśleć coś innego” — pisał Schumann do Klary Wieck. Zamazane pa-saże, wiedzbała gra lewej ręki i coraz częściej wpadki tekstowe sprawiły, że wciąż słyszeliśmy coś innego — zupełnie nie to, co miał na myśli kompozytor.

Dopiero po przerwie nastąpił główny



TRZY OPOWIEŚCI
O MIŁOŚCI

Niniejsza książka jest pierwszą, tłumaczoną na język polski utworem łotewskiego poety i prozaika Władimira Kajalkasa; zawiera ona trzy opowiesci: „Krucze władanie”, „Zona”, „Wiosna”. Wskazywając, poświęcając, opiewając piękno duszy ludzkiej, Owłane są lirycznym smutkiem a jednocześnie pełne łagodnej radości i optymizmu.

Najniekscytująca jest opowieść „Zona”, historia kobiety, która całe swoje życie podporządkowała miłości. Opowiada o wytrwałym poświęceniu dla nie spełnionej miłości, o odwadze i determinacji, o płomiennym, czystym i dojrzałym.

„Wiosna”. Tutaj w przedmowie była dojrzała i świątobliwa jest miłością która nie zalewiała o dorosłej miłości, śmierci ojca

1 Tragedii matki obserwujemy 'jej' przypszenie dojeżdżanie.
Jeszcze inne jest trzecie opowiadanie „Krucze władanie”. Utrzy-
mane jest ono w tonie nastojowej legendy, gdzie ogromną
rolę odgrywa zbratanie się człowieka z przyrodą, uzależnienie od
niej, traktowanie jej jako milczącego świadka ludzkich drama-
tów i namietności prowadzących często do tragedii.
Władimir Kajkals „Trzy opowieści o miłości”, przekł. z rosyj-
skiego Wiesława Karaczewska, PIW, W-wa 1980, str. 254, cena
1 zł 25,-

DRUGA STRONA KSIĘŻYCA

Śląsk. W jednym z kopaliń pracował od trzydziestu lat strygarz Wiertawa. Wszyscy koleodzy i znajomi cenią go za szlachetność, uczciwość, przywiązanie do kopalni. On sam czuje się szczerzej. Ma dom, żonę dla której związał swoje życie zawodowe z kopaliną, udaje świetnie się uczące dzieci, stabilizację i wzrastającą z każdym rokiem zamożność. I nagle bez żadnego uzasadnienia, bez żadnego powodu, bez żadnego powodu, bez żadnego powodu (do brata) zabiera z sobą córkę. Jakże są przyczyną tego postępu, co skłoniło niemłodą już i zdawałoby się zadowoloną kobietę do porzucenia mężczyzny, którą ją uwieblila i bez której życie straciło dla niego wszelki sens. Jaka była naprawdę, o czym myślała przez te wszystkie lata? Kiedy podzielał decyzję wyrażoną co spowodowało, że w tym momencie nie mogła na niej realizację, że nie mogła wykonać, że nie mogła, że nie mogła jej ojców i ojczyznę, skoro ta bez słowa zgodziła się wraz z nią na wyjazd? Na te i inne pytania starsza się odpowiedzieć Wiertawa. Analizuje swoje życie. Szuka w sobie winy, momentu, który przeoczył, a który okazał się dla żony najważniejszy. Przy okazji tych osobistych obrachunków strygarz dokonuje rozważań o życiu, o przeszłości, o przyszłości, o sensie, o celu, o przełożeniu, o tym, jak ten sposób w miarę jak zaczyna odświeżać przed czytelnikami swoje życie, wymiar książki zdaje się zmieniać. Przestaje być banalną opowieścią o zmarłym na ży-

ciu rodzinnym, a zaczyna być szalenie interesująca książka o naszym wspólnym kraju, o jego problemach. O kłopotach i rozterkach ludzi którzy czują się odpowiedzialni za swój od-cinek pracy, za zakład w którym pracują, za cały kraj. Jest to bardzo głęboka, mądra i wnikliwa analiza naszych czasów nie unikająca tematów drażliwych.

CHAOS WITA W TOBIE ŁOTRA I ŚWIĘTEGO

PIW w znanej rękopisowej „Polskiej prozy współczesnej” wydał książkę Jarosława Markiewicza „Chaos wita w tobie lotra i świętego”, która jest debiutem książkowym autora; poety i malarza. Akcja powieści rozgrywa się na kilku poziomach świadomości i pozornie pozabawiona jest porządku, logiki i jasności Wydarzenia, które nie są do końca przemyślane. Brutalność w czasie początków, bywająca niedokończona, nakładają się na siebie. Onsiują nielustniejące miejsca, dziwnych ludzi i nierzeczne sytuacje. Najczęstszym motywem, który się pojawia w różnych wersjach jest motyw teatru opisywanego w najrozszerzonym sposobie. Ale nie teatr w potocznym rozumieniu tego słowa, a wiele miejsc w którym odbywa się przekazywanie biernie reagujących pod pewnymi względami, ale nie do końca, na świat zewnętrzny, powoływano określonych emocji u widzów następują reakcje zbliżone do reakcji postaci danej sztuki i widzowie grając siebie stają się aktorami. Kontynuując sztukę aktorzy-widzowie modyfikują jej treść, wzboğacając ją o własne przeżycia i sztuka staje się ich zyciem. Grając próbując odtworzyć własne problemy życia, aktorzy-widzowie nieświadomie tworzą i doświadczają o nich innym. Odkrywają najbardziej intymne pokłady własnej osobowości. Przynajmniej tak jest w najtańszych myśli i uczuć.

Jarosław Markiewicz „Chaos wita w tobie lotra i świętego”, PIW, W-wa 1978, str. 146, cena zł 20,-

I.

Kiedy przed laty chodziłem z grupą moich studentów po Bieszczadach z plecakiem i namiotem, urzeki mnie tam góry. Nocowaliśmy wtedy na Przełęczy Zembrak (816), w gęstym masywie leśnym Chryschaty. A że po drodze przypadkiem natknąłem się na mizerne już szczątki bunkrów sotni Hrynia, tedy nie dziw, że drugą, nocną Polaków rozmowę przy ognisku zaczęliśmy od wspomnień tego, co kiedyś u Gerharda wyczytaliśmy. Rychło jednak wróciliśmy do współczesności, zaczęliśmy spór o Bieszczady. Byli wtedy tacy, którzy z krainy między Oslawą a Sanem pragnęli utworzyć skansen turystyczny, bez domów FWP, zajazdów, moteli i asfaltowych parkingów. Z grubsza zgadzałem się z nimi, przypominając jednak nieśmiało, że nie wszyscy pragną wędrować z plecakiem i namiotem, że przydałoby się kilka porządných schronisk i dobra gastronomia by się przydała. I dzisiaj myślę podobnie.

W lutowym wydaniu Imt „Światowid” przeczytałem wypowiedź wojewody króśnieńskiego, Stefana Szczepańskiego:

„Do uprawiania turystyki kwalifikowanej w czystej postaci służyć będzie Bieszczadzki Park Narodowy: tam puścimy młodzież z plecakiem, turystów... Z myślą o nich powstaną na zalesionych szczytach miejsca widokowe. Bieszczady są dla wszystkich, nie dla wybranych”.

Rozumiem to tak, dla turystów wąski skrawek BPN, niech go zaadaptują. Dla reszty: zajazdy, parkingi, tzw. baza turystyczna z prefabrykatów, z płaskimi dachami. Z turystyki, tej prawdziwej: z namiotem, z plecakiem, województwo nic nie ma albo niewiele. A przecież trzeba z czegoś czerpać dochody.

To samo powiedział mi kiedyś jeden z osadników:

— Panie, inni na turystyce robią pieniądze, a my tu ciągle jesteśmy biednym zaciąganiem, kopcuszkami, pięknym ale biednym. Z takimi jak wy, co to wędrują z plecakiem i namiotem, to tylko kłopot. Zreć chce każdy, my także, a w sezonie w sklepach tyle samo co przedtem i potem. Pan rozumie?

Ostatnio widziałem parking, bo polem namiotowym trudno to nazwać. Były tam wszystkie marki samochodów, dużo z rejestracją zagraniczną, przeważnie niemiecka. Tacy turyści wożą jedzenie ze sobą: kawę lub herbatę w termosach, kanapki w woreczkach. Stać ich na to, gdyż na Bieszczady rezerwują zwykle tylko jeden, góra dwa dni: ot, duża obwodnica raz dookoła, jak na karuzeli, i dalej. Bieszczady zaliczone!

Spór o Bieszczady trwa. Więc może warto jeszcze raz sprawę przeanalizować, choćby tylko z dwóch powodów. Otóż, po pierwsze — wydaje mi się, i nie jestem w tym odosobniony, iż coraz większą cenę płacimy za totalne zwycięstwo cywilizacji nad przyrodą. Jest to zwycięstwo, które już dziś okazuje się być pyrrusowym. Jeśli więc są jeszcze w naszym kraju takie miejsca, gdzie można nieszczerze zapobiec — ocalenie tych miejsc wydaje się być konieczne. Po drugie — całkowicie solidaryzuję się z tym, co pisze Witold Michałowicz w książce „Spór o Bieszczady”:

„Bieszczady to tylko 0,002 procentu Polski. Małe enklawa, która obrosła legendą, olchą i kolejnymi koncepcjami zagospodarowania. Która winna być traktowana jako część kraju, a nie jedynie województwa króśnieńskiego... Dlatego wysuwam wniosek postawienia szlabanu na obwodnicę, by zahamować ruch turystów zmotoryzowanych w najwarteściowsze partie gór (przypominając, że samochodem można dziś już dojechać aż do parkingu przy przełęczy Reskid a stamtąd już tylko godzinne asfaltowe na Rozsypaniec. Absurd!), czterokrotnego powiększenia terenu Bieszczadzkiego Parku Narodowego usunięciem dużych ferm tuczki bydła (bukaciarstwa na 3 tys. sztuk bydła wdała więcej ścieków niż 30-tysięczne miasto!).

II.

Już w XIX wieku i w początkach naszego stulecia w różny sposób próbowano ustalić granice grup górskich w tym regionie. Inne kryteria odmienności grup i masywów górskich stosowali botanicy, a inne geografowie. Przyjęło się jednak, iż umowna granica między Bieszczadami a Reskidem Niskim jest malownicza, pełna rozległych widoków i wąskich przesmyków dolina Oslawy Od Oslawy i Przełęczy Łukowskiej na wschód aż do Sanu i Przełęczy Użorkiej rozciągała się góry zwane Bieszczadami Zachodnimi. Niektórzy

rozciągają nazwę Bieszczady poza terminologię geograficzną, nazywając Bieszczadami cały region administracyjno-gospodarczy na południe od Sanoka — Leska i Ustrzyk Dołnych. A tak naprawdę, Bieszczady to jedynie dość wąski pas gór od Wysokiego Działu (Masyw Chryschaty) przez Poloniny: Wetlińską i Caryńską do Poloniny Bukowskiej i Przełęczy Użorkiej.

Bieszczady były już w okresie pierwotnego osadnictwa swoistym konglomeratem narodów, kultur i religii. Zamieszkiwała ten region ludność zachodniosłowiańska, utrwalająca elementy kultury polskiej i wschodniosłowiańskiej z kręgu kultury bizantyjskiej, utrwalanej przez wieki w typie i układzie cerkwi,

zwykle chroni się tam bydło przed burzą. Bezpieczne są tylko te, zgrożdzone w sanockim skansenie.

III.

Mało kto wie i pamięta, że Bieszczady w okresie okupacji hitlerowskiej dawały schronienie licznym oddziałom AK, Gwardii Ludowej i BCh. Tu na tyłach frontu akcje dywersyjną prowadził m. in. oddział kpt. Mikołaja Kunickiego, pseud. „Mucha”, wspomniany przez tutejszą ludność. Kiedy na pozostałym obszarze kraju wojna już dobiegła końca, tu, w Bieszczadach, długo jeszcze łuny pożarów rozświetlały ciemność nocy, a głęboka cisza gęsto porośniętych lasami obłych gór, przedzierał przeraźliwy krzyk katowa-

ugorem, który rodził drzewo. Tak więc niż dziwnego, iż pierwszymi byli tu pracownicy leśni. Wtedy nie było jeszcze w Bieszczadach dróg asfaltowych, światła, wody. Po chleb wędrowało się kilometrami. I wówczas zrodziła się legenda, romantyzm bieszczadzki.

Zjeżdżali w Bieszczady ludzie, którzy pragnęli tu znaleźć swój kąt i zaczynać w harówce życie od nowa, ale i zjeżdżali ci, których przyciągał tam romantyzm, przygoda i czort jeden wie, co tam jeszcze. Włóczyli się poszukiwacze „złotego bieszczadzkiego runa”. Obiecywano im góry forsy. Ale, aby tu zostać, trzeba mieć w sobie twardość, jak drzewo i kamień. Inaczej, nikt tu nie wytrzymał.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

POZOSTANIE tylko LEGENDA...?

charakterze ikon, literach cyrylicy i kształcie krzyża. Kulturę kręgu bizantyjskiego wzmacniały migrujące aż tu grupy wołoskich pasterzy. I tak to z pomieszania fał pasterskiego osadnictwa wołoskiego z rolniczą ludnością ruską i polską, wykształciły się dwie zasadnicze grupy etnograficzne: Bojków i Lemków, które wywarły bardzo silne, choć zda się, przemijające już dziś piętno na charakterze folkloru Bieszczadów i Beskidu Niskiego. Tam, gdzie wpływy wołoskie mieszały się z osadnictwem ruskim, tam wytwarzała się w ciągu wieków grupa etniczna zwana Bojkami, gdzie zaś mieszały się z osadnictwem polskim, tam sprzyjało to ukształtowaniu się etnograficznej odrębności Lemków. Umownie można przyjąć, iż ci ostatni mieszkali na zachód od Wielkiego Działu. Tak więc lemkowski byli jeszcze siolami: Solinka, u źródeł Soliny, a także leżące u podnóża Masywu Chryschaty, nad Oslawą: Maniów, Mików, Duszatyn i Prekuki. Na wschód od tej linii aż po Sambor nad Dniestrem oraz siolami i polskimi chłupami nad Striemem, rozpościerał się obszar zamieszkały przez większość przez Bojków.

Ubogie i niezwykle prymitywne było życie pierwotnych Bojków. Głównym zajęciem był wypas i przepędzanie wołów po poloninach. Innym źródłem zarobków była praca w lesie. Bojkowie zatem byli pasterzami i zatrudniali się przy tzw. zrywce drzewa. Sami Bojkowie powiedzieli o sobie, iż lud ich „zajmująt się chłiborobstwem wypasem chudoby”. Napisy w narzeczu bojkowskim można jeszcze spotkać jedynie na kamieniach nagrobnych na starych cmentarzach, w większości już zdevastowanych.

Podobny los spotkał gros zabytkowych cerkwi, których w latach 1939—1956 na terenie ówczesnego województwa rzeszowskiego zrujnowano ponad sto. Wiele niszczone nadal, jak choćby ta w Turzańsku. Po wielu z nich, jak choćby po tej w Rajsckim, pozostały tylko ruiny. Dziś,

nej przez banderowców ludności. Lata 1945—1947 bodaj najtragiczniej zapisały się w historii Bieszczadów. Jeszcze dziś, w głębi gór, głównie w Masywie Chryschaty, czy na gęsto porośniętych zboczach Polonii natknąć się można przypadkiem na podziemne schrony nacjonalistycznych, ukraińskich band, które przez ponad cztery lata terrorizowały bojkowskie, lemowskie i polskie wsie i przysiółki.

Długo po wojnie „panował” w Bieszczadach dowódca oddziału UPA „Lemko”, Wasyl Iwan Mizernyj vel Maciejko, zwany „Renem”, jeden z uczestników zamachu na sanacyjnego ministra spraw wewnętrznych, Pierackiego, w 1936 roku. „Ren”, jak twierdził jedyny żołnierz ocalały z masakry pod Smolnikami (opisuje ją Jan Gerhard w „Lunach w Bieszczadach”), zginął na tym właśnie polu minowym. W latach 1944—1946 bandy działały na obszarze całych Bieszczadów. Kiedy UPA poniosła szereg dotkliwych klęsk, banderowcy wycofali się w góry, zamagając terror. Pokój w Bieszczadach przyniosła dopiero działalność grupy operacyjnej „Wisła”. Do końca 1947 roku rozbito oddziały kurina „Rena”, ale jeszcze wiosną roku następnego jednostki wojska i milicji wylapywały w górach niedobitki band.

IV.

W Bieszczadach przywrócono spokój. Ale równocześnie rozpoczął się kolejny smutny rozdział w historii tych pięknych gór. W porozumieniu z ZSRR przesiedlono do Związku Radzieckiego część ludności lemowskiej i bojkowskiej. Pozostała osiedlono na Ziemiach Zachodnich. Bieszczady na bez mała dziesięć lat stały się bezludną, choć spokojną już krainą, pozostawioną jedynie samej przyrodzie.

Potem przyszedł w Bieszczady osadnicy. Z małej filtry pisane „bieszczady” oznaczają ugor, Niczym innym nie były te góry, jak wielkim

Dziś, przyjeżdżają w Bieszczady inni amatorzy lekkiego grosza. Nastawiali willi między Smerekiem a Wetliną. Liczyli na szybką amortyzację i wielki zysk. I oni się zawiedli. Stoją te chałupy w większości puste przy asfaltowej drodze. Do nich dokopywali kramarze, z „pamiątkami”. Jeszcze najlepiej ulokowali swoje kapitałki ci, co to otwierali wzdłuż wielkiej obwodnicy jadłodajnie, przeważnie niskiej kategorii, co wcale nie idzie w parze z cenami za posiłki.

Narodziły się nowe legendy o Bieszczadach. Choćby ta o Lutku-kowboju. Mieszkał on kiedyś na Poloninie Wetlińskiej. Miał własnego „mustanga” pod siodło i po poloninach „kowbojował”. Któregoś jednak srogiej zimy koń padł. Lutek przenosił się z Poloniny Wetlińskiej w najdalsze kąty bieszczadzkie i zbudował sobie nową chatkę pod Hallczem... I to byłby już koniec legendy, bo dziś Lutek jest ponoć kierownikiem campingu dla zmotoryzowanych. Ja sam zaś pamiętam faceta, który w barze w Ustrzykach Górnych, jeszcze przed jego przebudową, grał za cyrkowca. Zakładał się o taką czy inną sztukę, z tym czy innym gościem. I zakład wygrywał, bo nikt się nie chciał wygłupiać. I tym sposobem starczało mu forsy, aby jakoś wyżyć „przy barze”.

V.

Nigdy nie chodziłem po Bieszczadach samotnie, zawsze jako członek grupy lub jej przewodnik. Choćby spotykałem na szlakach samotnie wędrujących po Poloninach. Ale ostatnio spotykałem coraz częściej „karawany”, „tramwaje” wycieczkownicze obsługiwanych przez WPT „Bieszczady”. Suną gęstego, karnie całe grupy turystów sobotnio-niedzielnich od autokaru, który zwykle zatrzymuje się na Przełęczy nad Berehami Górnymi, „aż” do chatki na Poloninie Wetlińskiej. Rasowi turyści, ci z plecakiem i namiotami, omijają pogardliwie owe „tramwaje”.

VI.

W bieszczadzkiej kolejce spotkałem kiedyś dziewczynę, która wracała „ze szkół” do domu. Skończyła technikum i wracała do Solinki. Przez kilka lat nauki żyła w mieście, ale została tam na zawsze nie chciała. Nie wyobrażała sobie, aby mogła mieszkać i żyć gdzie indziej niż w Bieszczadach. Dla tej dziewczyny te „bezludne kąty” są już rodzinnymi, jak zresztą dla wielu jej młodszych kolegów i rówieśników. Oni już tu po prostu, ze świadomością tego, że są u siebie. Oni zapewne zmieniają Bieszczady, bo jak wszędzie, tak i tutaj będą pragnęli żyć łatwiej, w miarę wygodnie i nowocześnie, ale chyba oni także będą odbali o to, aby ocalić te strony od zapomnienia, zetracenia niepowtarzalnego, wspaniałego bieszczadzkiego romantyzmu.

Kiedy idzie się przez Bieszczady, trzeba koniecznie zejść do Cisnej. I nie jest prawdą, że w Cisnej zawsze pada deszcz. Cisna, to nie tylko knajpa i motel (gdzie notabene można wypić najlepsze piwo w całych Bieszczadach), sklepy, kramiki z pamiątkami, choć niewątpliwie właśnie to wszystko stanowi o jej specyficznym, bez mała niebieszczadzkiem „kolorycie”. W Cisnej właśnie, przy drodze do Jabłonek, można zobaczyć w dole dwie zachowane jeszcze, tradycyjne bojkowskie długie chaty, łączące pod jednym dachem izbę mieszkalną, sieni i stajnię. O wiele więcej tego typu chat stoi jeszcze przy drodze w Turzańsku.

I to wszystko warto zachować, uratować, aby ta niewielka część Polski stała się nie tylko legendą, aby zachowała swoją autentyczność. Tak jest mój głos w sporze o Bieszczady.



Dalszy ciąg ze str. 1

„kultury”. Ponad sto tysięcy ludzi zgineło w Salaspis, a takich obywateli było na terenie niedużej Łotwy kilkadziesiąt. Nie zostało żadne nazwisko, spalono ludzi, potem baraki, potem dokumenty. Nasz łotewski towarzysz jest tu po raz setny i znów ma łzy w oczach. Kamienne twarze patrzą groźnie wysoko nad naszymi głowami.

Milczymy, wracając do Rygi. Trzeba zanurzyć się w tłumnej krzątaninie śródmieścia, wejść pomiędzy nie kończące się szeregi jasno oświetlonych wystaw sklepowych, w szum sunących nieprzerwanie samochodów — żeby wyzwolić się spod tamtego nastroju i odetchnąć z ulgą: to już historia.

A oto dzień dzisiejszy: miasto wielkie jak Łódź, stolica republiki, tętni życiem. Po wazłutkich uliczkach starówki ciągną gęsto ludzie z podniesionymi w górę głowami — oto dom Reiterusa z XVII wieku, zdobny girlandami z kamiennych liści i owoców, tamta grupa domów to „Trzej Bracia”, z których najstarszy narodził się już 400 lat temu, dalej opasła baszta Prochowni, którą w połowie XIX wieku postawiono na ruszcie z wielkiej debowej pni i stoi na nim do dzisiaj. A ten kot na dachu narożnej kamienicy?

Łącznie Niemcy, a warunkiem przyjęcia w poczet braci była przysięga pozostania w stanie bezennym aż do śmierci. Był to więc niejako klub bogatych starych kawalerów, którzy nie wiadomo po co i dla kogo pomnażali swe majątki handlując z całym światem. Czarnogłowcy przetrwali ponoć aż do ostatniej wojny, tyle że ostatnio stanowili raczej na pół tajny, snobistyczny związek baronów i bogaczy, coś w rodzaju masonerii — a może i samą masonerią.

A tam jest poziom placu, na którym zbudowano katedrę — mówi nasza towarzysząca i pokazuje dno

hala, pełna słoniny. Na zimnym wicherze stoją z gołymi głowami Gruzini i sprzedają południowe owoce. Tanie to one nie są, ale patrzcie: i mandarynki, i granaty, i figi — w grudniu, nad północnym Bałtykiem!

W eleganckich i pięknie urządzonych sklepach śródmieścia łotewskiej specjalność: wyroby z bursztynu. Nie znam się na kunsztownych detalach damskich, ale wybór rzeczywiście ogromny, a nad każdą gałką pochylone dziesiątki głów. W każdej kawiarni komplet. W księgarniach tłok. W największej z nich znajdujemy stoisko z książkami polskimi, wyposażone obficie niż nie-

dała go miejskiej straży. Jak to nigdy, pod żadną szerokością geograficzną, nie można być pewnym kobiety! Dziś w domu rozbójnika jest gospoda z dobrym piwem — ba, akurat nieczynna. A że piwo naprawdę dobre, to wiem, bo próbowałem gdzie indziej. Pod gruzińską czachochbilla, czyli coś w rodzaju baraniego Stroganowa. A potem jeszcze mocna kawa w Kawiarni Trzynastu Krzesel, gdzie jest naprawdę tylko trzynastie miejsc i czternasty gość czeka w kolejce za drzwiami. Ale byłem trzynasty, co tym razem okazało się szczęśliwe.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

RYSKIE SPACERY

Pan Skajlis, znany i wysoko ceniony pisarz o ostrym, satyrycznym piórze, odpowiada na nasze pytanie anegdotą: w gmachu dzisiejszej filharmonii mieściła się przed pierwszą wojną światową giełda. Jeden z kupców, właściciel domu położonego naprzeciw giełdy, poróżnił się z całym gronem i żeby mu dokuczyć — wznosił nad swym domem wieżyczkę, a na jej szczycie ustawił wielkiego żelaznego kota z podniesionym ogonem. Mówiąc po prostu: kot wypijał się w imieniu swego właściciela na całą giełdę. W wiele lat później uznano, że filharmonia to nie giełda i wypinać się na nią nie wypada — odwrócono więc kota w przeciwną stronę. Pan Skajlis nie mówi, w czyj honor godzi teraz koci zadek. Anegdota jest zabawna i kiedy będziecie w Rydze — poszukajcie domu z wieżyczką i z czyniakiem despektu kocurów.

Katedrę Damską zaczęto budować w XIII stuleciu, w roku 1226 już się tu odbywały nabożeństwa. Później były przebudowy, pożary, renowacje i rozbudowy. Dziś w ogromnej gotyckiej budowli odbywają się sławne w świecie koncerty organowe. Parę razy w tygodniu skupiają ponad tysiąc słuchaczy, nielato jest dostać kartę wstępu. Bez scenograficzno-choreograficznych uduśnięć, bez jarmarcznego blichtru — sama czysta muzyka i to bardzo poważna. Pozazdrościć.

W przerwie koncertu krążyliśmy wokół katedry z młodą Łotyszką, projektantką wnętrz, która — ot, tak sobie, dla przyjemności — postanowiła nauczyć się polskiego języka. Mówi zupełnie dobrze, chociaż z namysłem. — „Ten czarny w górę” — wyjaśnia, wskazując posąg świętego w hieratycznej pozie — to patron Rygi, Maurytius. Murzyn”. Skąd wziął się święty Murzyn na Łotwie? Dlaczego tutaj kupcy uznali go za swego opiekuna i na jego cześć już w XV wieku zawładali Bractwo Czarnogłowców, bardzo nobile, bardzo ekskluzywnie i bardzo dziwnie? Do bractwa mogli należeć tylko najbogatsi mieszczaństwo, prawie wy-

głębokiego rowu, biegnącego wzdłuż ściany. Jak to się dzieje, że świątynie, pałace, całe miasta zapadają się w głąb? Co składa się na te warstwy, które pokryły niegdyś te ulice i place i podniosły je wyżej? Mówi się, że pokolenia schodzą pod ziemię. A one kładą się pokodem wraz ze wszystkim, co w wielkim trudzie stworzyli, kładą się pod nogi następcom, nie dadzą się ominąć, zmuszają deptać po sobie jak po stopniach, wiodących w górę. Wzdłuż Daugawy też były do niedawna płaskie, nizinne brzozy, zalwane co roku przez rzekę. Po opadnięciu wód zostawały jeziora, stawy, kałuże — aż zasypano to wszystko, podniesiono dziesiątki hektarów o parę metrów wyżej — te łaki, po których biegali w dzieciństwie dzisiejsi panowie w średnim wieku, leżą teraz głęboko pod parometrową warstwą ziemi, na ich miejscu powstała szeroka autostrada i bezkolizyjna wjadź na most. Największą rzeką Łotwy — Dźwiną, która tu nazywa się Daugawa — spływają statki do Jūrmali, najpiękniejszego radzieckiego uzdrowiska nad morzem Bałtyckim. Niedaleko: zaledwie dwanaście kilometrów od centrum miasta stołecznego.

Oddaliśmy się trochę od bulwaru. W każdym dużym mieście należy przecież zwiedzić targowisko, powąłęć się wśród kramów, ludzi, towarów. Czy wiecie, co najbardziej rzuca się w oczy na bazarze ryskim? Aloes. Steryloesowych liści, ale jakich dorodnych, grubych jak agawa, zielonych, soczystych, aż chciałoby się włożyć w rękę i chrupać. Urtarte liście aloesowe uchodzą tu za lekarstwo na wiele chorób, zdaje się, że wchodzi też w skład słynnego „balsamu ryskiego”, czyli mocnej nalewki na czterdziestu ziołach, pomocej ponoć na czterdziestu rodzajach cierpienia. Całe rzędy stoisk z liśćmi aloesu, a dalej — miód i miód. Żółty, brązowy, zielonkawy, biały; w słoikach, w butelkach, w paczkach; twardy jak kamień i płynny jak oliwa. Zatrzeszenie miodu, cała hala ryb i druga

jedna księgarnia w Łodzi — widocznie istnieje tu dostatecznie duża grupa nabywców, czytających po polsku. Dużo też tłumaczy się na łotewski, zarówno książek, jak sztuk teatralnych. Nakłady — jak w Estonii — niezwykle duże, zwłaszcza w porównaniu z nielicznym przecięt, dwu i półmilionowym łotewskim kręgiem językowym. Ponad dwustu pisarzy, zrzeszonych w związku, nie narzeka na brak poczytności, rynek tu chłonny, poligrafia świetna. Charakterystyczne jest duże zainteresowanie poezją, czego nie można powiedzieć o naszej czytającej publiczności. Może za daleko poszliśmy w eksperymentowaniu, może żonglerka słowna zanadto przyzłuszyła autentyczne ludzkie wzruszenie?

Szkoda, że ze względu na porę roku nieczynne jest muzeum etnograficzne. Możemy tylko pochodzić po pięknym lesie i obejrzeć z zewnątrz autentyczne stare domy wiejskie, kościoły, spichrze, studnie i karczmy. Cześć tych zabytków znacznie się różni od pozostałych: to budynki przeniesione z Łatgalii, wschodniej prowincji Łotwy, zamieszkałej niegdyś przez odrębny lud o niezupełnie wyjaśnionym pochodzeniu. Prawdopodobnie było to jakieś plemię Estów, z własną kulturą, językiem i obyczajem. Język zaginął, odrębności folklorystyczne zostały. W tejże Łatgalii zamieszkiwały liczne rodziny polskie, osiadłe tam od wieków i niezmienne zachowujące swój język i obyczaje. To stąd pochodził pan Jacek Osmanis, wicedyrektor wielkiego koncertu wydawniczego, tłumacz „Pana Tadeusza” i wielu naszych współczesnych książek i sztuk scenicznych. Pan Osmanis wybiera się właśnie znów do Warszawy, jest w naszym kraju dobrze znany, ma wielu przyjaciół.

Przy głównej alei skansenu stoi karczma, której znikąd nie przenoszono — stała tu zawsze. Mieszkał w niej kiedyś wielki rozbójnik Melnais Skersts i niepokoił okolice Rygi, dopóki własna kochanka nie wy-



JACQUES BOUB

CZAROWNICY Z „SALEM”

morze spokojne. O godz. 11.10 GMT, Robert Taylor, kapitan brytyjskiego zbiornikowca „British Trident” został wezwany przez radiotelegrafistę, który odebrał właśnie sygnał alarmowy z liberyjskiego supertankowca „Salem”. eksplozję, pożar na pokładzie. „British Trident” zmienił kurs. Kiedy przybył na miejsce katastrofy, „Salem” był już na dnie. Żołęga w kompiecie (10 Tunezyjczyków i 14 Greków) znajdowała się na łodziach ratunkowych. Brytyjski tankowiec odstawił ich do Dakaru. Dziennik pokładowy pozostał na „Salemie”, na głębokości 4300 m. daleko od niedyskretnych oczu.

Gdy wieść o katastrofie dotarła do Londynu, w biurach ubezpieczeniowych Lloydów zawrzało. Dla tej najszybciej i najpotężniejszej na świecie organizacji ubezpieczeniowej strata „Salem” to poważna sprawa. Zbiornikowiec ten, o pojemności 213.928 ton był ubezpieczony na sumę 25 mln dolarów, zaś jego ładunek (193.132 t lekkiej ropy z Kuwejtu) — na sumę

60,2 mln dolarów. Odliczając drobną część powierzoną towarzystwom norweskim, Lloyds będzie musiał zapłacić blisko 80 mln dolarów.

W Dakarze inspektorzy prowadzą śledztwo. I oto, 28 stycznia 1980 roku „Lloyds List” — codzienny biuletyn londyńskiego towarzystwa ubezpieczeniowego, przynosi bombową wiadomość: właściciele nie otrzymają odszkodowania. Sprawa jest wystarczająco podejrzana, aby Lloyds odstąpił, przynajmniej chwilowo, od swej dewizy „My word is bond” („Moje słowo jest wiążące”). A wszystko dlatego, że w Senegalu pewien marynarz nabrał śmiałości i przemówił. Twierdził on, że „Salem”, który miał dostarczyć ropę naftową do Europy, zatrzymał się w Durbanie, na wschodnim wybrzeżu Afryki Południowej, gdzie potajemnie pożył się swego ładunku. Odpłynął stamtąd, jak utrzymuje tunezyjski marynarz, z ładowniami napełnionymi morską wodą, a później został rozmyślnie zatopiony.

To zeznanie jest potwierdzeniem całej serii poszlaków, które już wcześniej zaniepokoiły ludzi morza. Po pierwsze, czas trwania rejsu: 37 dni podróży z Kuwejtu na wysokość Senegalu, podczas gdy powinno było wystarczyć mniej więcej 20 dni. Po drugie, oświadczenia kapitana, który nie potrafił wyjaśnić przyczyny eksplozji. Dalej, spóźniony sygnał SOS, nadany przez „Salem” 17 stycznia o godz. 11.10, podczas gdy pierwszy wybuch na statku nastąpił 18 stycznia o godz. 5.00 GMT. I wreszcie, minimalne tylko zanieczyszczenia spowodowane przez katastrofę.

Wszystkie te szczegóły byłyby tylko garścią domniemań, gdyby nie zeznania Tunezyjczyka, złożone mimo otrzymania przez niego odpowiedniej sumy, za którą chcieli kupić jego milczenie. „Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek ryzykuje życiem” — stwierdził pewien francuski makler portowy.

Komisarz portu londyńskiego, Eric Ellen, jest zdania, że co roku około 80 statków uczestniczy w takim oszukańskim procederze, co kosztuje towarzystwo ubezpieczeniowe niebagatelną sumę 226 mln dolarów. A jest to tylko ta widoczna część góry lodowej. Ażylem dla tego rodzaju machinacji stały się porty w trójkącie Grecja — Cypr — Liban, a także na Da-

lekim Wschodzie i w Afryce. Jak dotąd, z braku dowodów, tylko jedna drobna plotka trafiła do więzienia. Jeżeli uda się rozwikłać sprawę „Salem”, pozwoli to, być może, dotrzeć do grubszych ryb.

Kiedy w 1980 roku „Salem” opuszczał stocznice w Malmö (Szwecja), nosił nazwę „Sea Sovereign”. Była to najnowocześniejsza jednostka floty szwedzkiej. W kwietniu 1977 roku nabyła ją firma „Pimberton Shipping Ltd” — towarzystwo liberyjskie z siedzibą w Hongkongu. Pod nazwą „South Sun” jednostka ta zaczęła pływać jako statek wycieczkowy, dzieki czemu — obok innych korzyści — armatorzy mogli uniknąć rygorów fiskalnych, najnowacześniejszy i najdroższy statek w flocie, a także oferować swe usługi za opłatą bliższą niż w przypadku konkurentów.

26 listopada 1979 roku „South Sun” staje się własnością innej firmy liberyjskiej — „Oxford Shipping”. Jej biura mieszczą się na przedmieściu Houston (Teksas, USA). Jedno pomieszczenie wynajmowane za 135 dolarów miesięcznie, zaś na czole firmy — niejaki Fred Soudan, lat 34, Amerykanin pochodzenia libańskiego. To on właśnie nabył wielki zbiornikowiec za 11,5 mln dolarów. Skąd miał pieniądze? „Mój ojciec” — wyjaśnił Soudan dziennikarzowi londyńskiego SUNDAY TIMES — umierał, pozostawił mi prawdziwą fortunę w Libanie... Za pośrednictwem swych maklerów w Rotterdamie, Soudan — jak mówi — wynajął statek niejakiemu Steinowi, który podjął się zwerbować załogę i załadunku ładunku. Ten Stein to ciekawy typ, 40-latek, szpakowate, kręcone włosy i silny akcent północnoniemiecki. To wszystko, lub prawie wszystko, co o nim wiadomo. Można natrafić na jego ślad w Szwecji, a także w Pireusie, gdzie starał się zwerbować marynarzy. Pierwszym, który odpowiedział na ogłoszenie Stein, był kapitan Demetrios Georgulis, dziwny kapitan, za którym wlezie się kilka historii bliźniaczo podobnych do przygody, jaka miała wkrótce spotkać jego nową jednostkę. W styczniu 1979 roku Georgulis załadował na statek „Aleksandros K.” cukier przeznaczony dla Arabii Saudyjskiej, gdzie nigdy nie dotarł, z tej postępy przyczyną, że został sprzedany w Libanie. Potem „Aleksandros K.” zatonął w tajemniczych okolicznościach. Georgulis był przesłuchiwany przez policję grecką, został oddany pod nadzór sądowy i opuścił Grecję zaopatrzony w paszport amerykański.

30 listopada 1979 roku „South Sun”, który teraz nazywał się „Salem”, opuścił Dubaj udając się do Kuwejtu, gdzie zatankował ropę na rachunek pewnej firmy włoskiej. 10 grudnia wyruszył w rejs do Europy. 14 grudnia brytyjskie towarzystwo „Shell” odkupiło ładunek za 56 mln dolarów, podczas gdy tankowiec znajdował się na pełnym morzu. „Shell”, żywiąc

całkowite zaufanie do firmy włoskiej, nie usiłował nawet dowiedzieć się, kto jest armatorem, czy też kapitanem statku. Tymczasem „Salem” zbliżał się do południowoafrykańskiego portu Durban.

Od czasu rewolucji irańskiej Pretoria, bokotowana przez wszystkie kraje arabskie, musi sobie radzić sama z zaopatrzeniem w paliwo. Melody tego zaopatrywania się (i zaopatrywania Rodezji) oficjalnie należą do spraw „ściśle tajnych”. Ropa kupowana jest na wolnym rynku, bez stawiania niedyskretnych pytań. Nic więc dziwnego, że porty południowoafrykańskie stały się wprost idealnym miejscem dla nowo kreowanych handlarzy ropą. 27 grudnia „Salem” zarzuca kotwicę na miejscu przeznaczenia — w pełnym morzu na wysokości Durbanu. Tym razem jednostka nosi nazwę „Lema”. W ciągu sześciu dni wyładowano ropę, zastępując ją morską wodą. Kiedy 2 stycznia tankowiec odpłynął, wydawało się, że jego ładownie są wypełnione po brzegi. Ciąg dalszy znany jest tylko z zeznań tunezyjskiego marynarza. Niebagatelną sumą we frankach szwajcarskich, aby kupić milczenie żalogi. 16 stycznia — pierwsza eksplozja u wybrzeży Senegalu.

Kto zarabia na tym procederze? Przede wszystkim ten, kto sprzedał w Afryce Południowej blisko 200 tys. ton ropy — co cenie wolnorynkowej wynosiło to ok. 95 mln dolarów. Czy zarabia także armator, który mógłby otrzymać odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia: 24 mln dolarów za statek, który kosztował go 11,5 mln dolarów? Firma „Shell” zwróciła się do armatora, ponieważ Lloyds odmawia wypłaty odszkodowania. Armator, rzeczonemu Fred Soudan, oskarża ze swej strony mitycznego Stein. O ile oczywiście wszystkie te osoby nie są po prostu figurantami, za którymi kryje się tajemniczy „szef” kierujący owym superintratnym procederem. W Libanie czy Pireusie padły już nawet pewne nazwiska. „Ano zobaczmy — konkluduje wspomniany francuski makler — Pewne jest tylko jedno: w tej nowej profesji zdomowała się niezła szajka łajdaków”.

(L'EXPRESS)

Dowódca 12 pancernej dywizji Bundeswehry, gen. major Gert Bastian, podał się do dymisji na znak protestu przeciwko eskalacji wyścigu zbrojeń inspirowanego przez NATO. Jak wiadomo, eskalacja przewiduje rozmieszczenie w zachodniej Europie nowej, amerykańskiej broni rakietowo-jądrowej. Generali sprzeciwili się wzięciu na siebie współodpowiedzialności za prowadzenie polityki militarystycznej która zadaje cios sprawie odprężenia i umacniania pokoju.

Z krótkim oficerem rozprawiono się krótko. Oficjalnie Bonn podjęło błyskawiczne działanie, żeby „unieszkodliwić” Bastiana, występującego przeciwko polityce rządu, zmierzającej do urzeczywistnienia rakietowo-jądrowych zamierzeń NATO. Przeciwno generałowi rozpetano nagonkę, której nadają ton siły skrajnie prawicowe na czele z przywódcą CSU (Unia Chrześcijańsko-Spółeczna), F. Josefem Straussem. Pod prężnym patronatem NATO puszczono w ruch wszystkie mechanizmy zastraszenia włącznie z anonimowymi pogrozkami zamachu na życie generała. Koła reakcyjne nie żałują wysiłków, żeby zdławić dyskusję, która toczy się w szerokich kręgach społeczeństwa RFN wokół decyzji NATO o tworzeniu wciąż nowych systemów broni masowej zagłady oraz stłumić krytykę obec-

ci od publicznych oświadczeń. W październiku ub. roku, na naradzie grupy dowódców Bundeswehry, Peupel powtórnie wytoczył przeciwko Bastianowi tendencyjne oskarżenia.

I oto znów wokół Bastiana rozpetana się burza. Tym razem generali powiedzieli publicznie, że decyzję NATO o dozbieraniu uważa za szkodliwą. Chodziło tu o podjętą w grudniu, na sesji rady NATO, decyzję o produkcji i rozmieszczeniu w zachodniej Europie, a przede wszystkim w RFN, amerykańskich rakiet jądrowych średniego zasięgu. Decyzja ta rzeczywiście wzbudziła generała: plany rozmieszczenia na terytorium Republiki Federalnej nowych rakiet średniego zasięgu wykraczały daleko poza ramy jakie uważał on za wystarczające do obrony RFN. „Zdecydowanie potępiam dozbieranie, które dla narodów przeciwko którym jest skierowane tworzy nieodpuszczalny czynnik ryzyka”. Generali uważali za swój obowiązek powiedzieć o tym, a przede wszystkim po wydarzeniach w Afganistanie, obawiając się, że teraz nastąpi przyspieszenie tempa zbrojeń.

„Jako Niemiec i jako dowódca odpowiadający za życie blisko 20 tysięcy żołnierzy” — pisał gen. Bastian — nie mam prawa być milczącym świadkiem wydarzeń, których tendencje rozwojowe uważam za szko-

ląca. Zainteresowanie niekorzystnym rozwojem wydarzeń, spowodowanych przez USA próbą eskalowania napięcia w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, odsunęło na plan dalszy inne międzynarodowe fakty. Tymczasem w poszczególnych krajach miały miejsce ostatnio zdarzenia, których nie można nie odnotować.

We Włoszech rozpoczął się nowy etap rozgrywek politycznych. Zakończony przed dwoma tygodniami krajowy zjazd partii chrześcijańsko-demokratycznej przebiegał, jak wiadomo, przede wszystkim pod kątem: można czy też nie nawiązać współpracy rządowej z komunistami. Ostatecznie większość delegatów — ok. 58 proc. — udzieliła na to pytanie odpowiedzi negatywnej. Obserwatorzy zauważają jednak, że nigdy jeszcze tak znaczna część aktywnych chadeckich nie poparła idei współpracy i to w momencie, kiedy w stosunkach międzynarodowych utrzymuje się dość ostre napięcie. Jest to więc znaczne odchylenie w lewo, które w przyszłości może mieć duże znaczenie.

Tymczasem Włochy stoją wobec groźby kolejnego kryzysu rządowego, ponieważ socjaliści oświadczyli, że z biernego poparcia gabinetu Cossigi przechodzą do opozycji, a do przyszłej koalicji rządowej bez udziału w niej Włoskiej Partii Komunistycznej nie wejdą. Od tego oświadczenia liczą się dni obecnego rządu, gdyż nie dysponuje on już większością i przy pierwszym głosowaniu nad wotum zaufania z pewnością upadnie. Kiedy to nastąpi — trudno prorokować, optymiści sądzą, że może uda mu się wytrwać do wyznaczonych na wiosnę wyborów regionalnych.

Zjazd partii chadeckiej nie tylko więc nie dał odpowiedzi na pytanie, jaka ma być formuła przyszłego rządu, ale, co więcej, przesadził właściwie o losie gabinetu Cossigi. Wydaje się, że delegaci, którzy opowiedzieli się przeciwko udziałowi komunistów w rządzie, liczą na zjawisko obserwowane w innych zachodnich krajach — wzrostu sympatii części wyborców do sił zachowawczych i umiarkowanych. Nie ma jednakże podstaw, aby sądzić, że tak zdarzyć się może również we Włoszech.

Sytuacja wewnętrzna kraju jest nadal trudna: bezrobocie rośnie, inflacja przekroczyła w br. 20 proc., narastają tendencje strajkowe... Innymi słowy — nie uda się uniknąć napięć społecznych, a te obracając się będą przeciwko chadeckiej, odpowiedzialnej za aktualny stan włoskiej gospodarki. Chociaż więc większość delegatów odmawia jeszcze współpracy z komunistami — taka ewentualność jest realniejsza teraz niż przed laty.

Przed pierwszą próbą parlamentarną stanął w minionym tygodniu brytyjski rząd konserwatywny. Wniosek o wotum nieufności postawiony został przez opozycję labourystowską w związku z polityką ekonomiczną pani Thatcher. Zdaniem Partii Pracy, polityka ta powoduje pogorszenie nastrojów społecznych w W. Brytanii.

„SPRAWA” GEN. BASTIANA

nej linii polityki RFN, hamującej odprężenie militarne w Europie. „Sprawa” gen. Bastiana szeroko komentuje prasa RFN. Bundeswehra jest wzbudzona sprawą Bastiana, który do niedawna zajmował stanowisko dowódcy 12 dywizji pancernej, stacjonującej w Feintshochheim w Bawarii. Bastian, doświadczony dowódca wojskowy, jest człowiekiem mającym własny pogląd na sprawę zbrojeń. Nie uważał za potrzebne ukrywanie swoich przekonań i, jak w RFN niektórzy ludzie mówią, „często igrał z ogniem”. W konsekwencji stał się celem wściekłych ataków opozycji, a przede wszystkim bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Spółecznej. Inicjatorzy kampanii rozpetanej przeciwko Bastianowi oskarżali go nawet o to, że swymi „lewicowymi” oświadczeniami general-major chce się zasłużyć w oczach ministra obrony, socjaldemokrata, Apela. Ale to właśnie Apel w bezwzględny sposób skierował Bastiana „do taborów”, odsuwając go od dowodzenia dywizją.

O żadnym z 220 zachodniemieckich generałów i admirałów nie pisały gazety w ubiegłym roku tak często, jak o generale Bastianie. Po raz pierwszy, jak informował „Die Zeit”, zwrócił na siebie uwagę w początkach marca ub. roku, kiedy wystąpił na kolokwium Młodych Socjalistów (młodzieżowa organizacja SPD — red.) poświęconym zagadnieniom wojskowo-politycznym. Wówczas to general-major poparł pogląd przewodniczącego frakcji parlamentarnej SPD, Herberta Wehnera, że „wysiłki w dziedzinie zbrojeń podejmowane przez Związek Radziecki noszą charakter obronny a nie ofensywny”.

W szeregach CDU-CSU spowodowało to eksplozję oburzenia. Generali „stał się czynnikiem ryzyka dla bezpieczeństwa kraju” — grzmiało w obozie CSU. Franz Josef Strauss kategorycznie zażądał usunięcia Bastiana z zajmowanego stanowiska. Przewodniczący CSU, który w zależności od nastrojów może się uciec nawet do oszczerstwa, nazwał 12 dywizję pancerną „prywatną gwardią” Herberta Wehnera, chociaż dowódca tej dywizji, gen. Bastian, nie był nigdy socjaldemokratą. Co więcej, kilka lat temu był członkiem CSU, ale opuścił jej szeregi i obecnie jest bezpartyjny.

Krytyków z obozu prawicy, którzy ławą ruszyli na Gerta Bastiana, szczególnie rozżarzyła uwaga generała, że „Związek Radziecki dzieli zaledwie jedno pokolenie od chwili, gdy uciepiał wskutek agresji Niemców. Dlatego też — powiedział generał — zastanawiam się, czy nie za dużo bierzemy na siebie, rozszczać sobie prawo do osądu, jaką część radzieckich zbrojeń można uważać za usprawiedliwioną dążeniem do zapewnienia sobie bezpieczeństwa, a jaką nie.

Mineło niewiele czasu, a general znów postawił na równe nogi prawicę w całym kraju swoją przedmową do książki zachodniemieckiego historyka, Heinza Arteta „Mordercy w mundurach”, potępiając w tej przedmowie „maniakalny antykomunizm”. Od tego czasu opozycja nieustannie atakuje Bastiana. I nie tylko opozycja. Inspektor wojsk lądowych, Peupel, przygotował przeciwko Bastianowi sprawę dyscyplinarną. Minister Apel ujął się wtedy za generałem, ale życzył sobie, by ten powstrzymał się w przyszłości

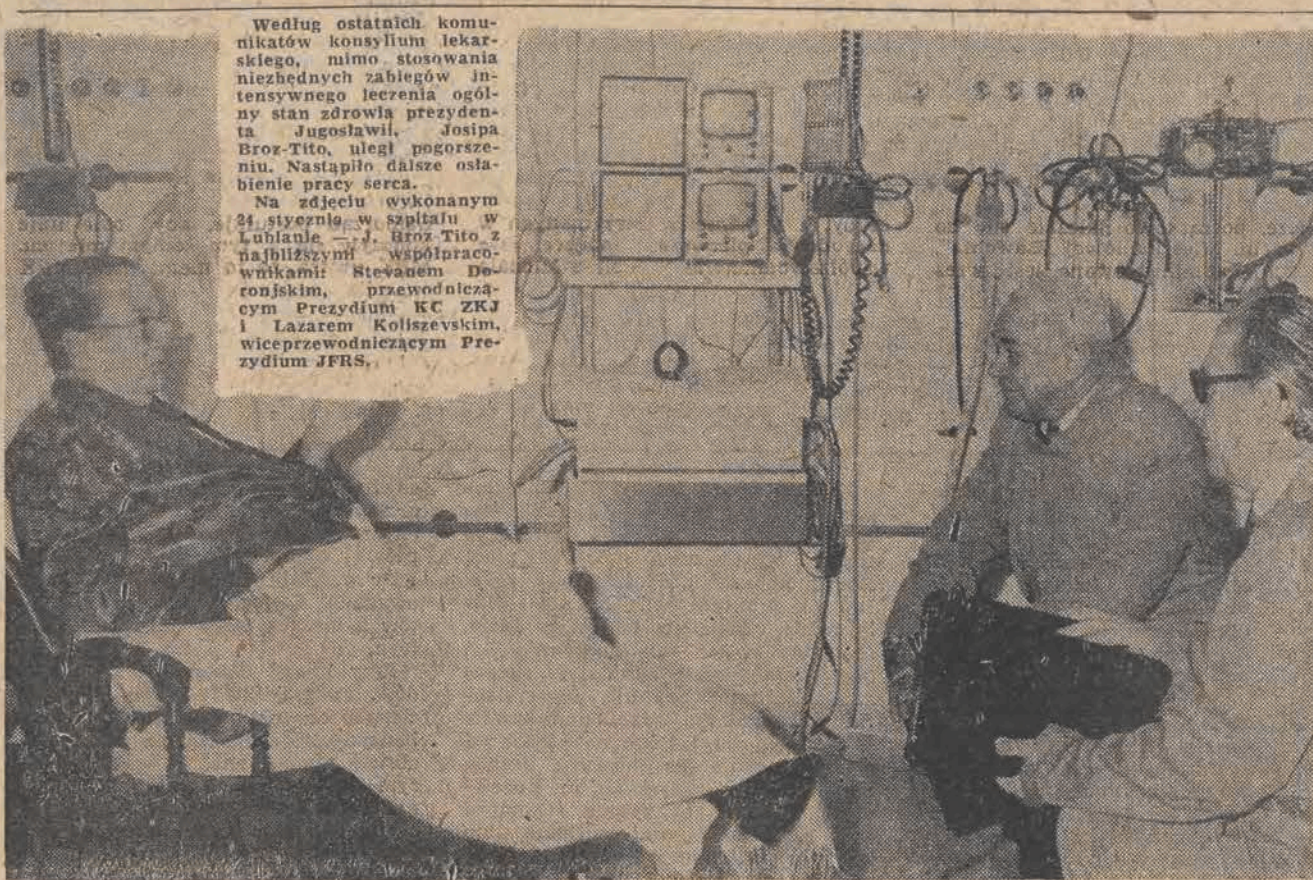
dłwie. Mój negatywny stosunek do dozbierania nie da się pogodzić z pozostawianiem na służbie w szeregach sił zbrojnych. Dlatego proszę Pana o bezterminową demobilizację z szeregów Bundeswehry”. Tak brzmiało pismo gen. Bastiana z prośbą o dymisję, skierowane do ministra obrony narodowej RFN.

W relacji „Spiegla”, odpowiedź na tę prośbę dotarła do wiadomości generała w sposób dotąd nie praktykowany. Na biurku generała-majora, Gerta Bastiana, zadzwonił telefon. Mówił ktoś z redakcji „Süddeutsche Zeitung”: „Proszę włączyć radio”. Nadawano właśnie informacje, z których dowiedział się Bastian, że został usunięty ze stanowiska dowódcy 12 dywizji pancernej. W ten niezwykły sposób, za pośrednictwem radia, minister obrony, H. Apel, odpowiedział na prośbę generała o dymisję. Drażliwa wiadomość wywołała popłoch w Bonn, nazwisko Bastiana znów znalazło się w sensacyjnych nagłówkach gazet.

Po raz pierwszy w wojskowej historii RFN, jednego z najwyższych rangą oficerów Bundeswehry usunięto ze stanowiska ponieważ uważał, że zbrojenia są nadmierne i Republika Federalna nie ma prawa dopuścić do tego, żeby na jej terytorium rozmieszczono potencjał jądrowy, zagrażający Związkowi Radzieckiemu — jak to sprecyzował Bastian w piśmie skierowanym do Hansa Apela, krytykując decyzję o dozbieraniu, podjętą przez NATO. Ale minister nie zamierzał dopuścić do tego, żeby „żołnierze formułowali polityczne oświadczenia i na ich podstawie decydowali, kiedy chcą się podać do dymisji”. I postanowił dać nauczkę generałowi (Bastian został natychmiast usunięty ze stanowiska dowódcy dywizji i jednocześnie minister obrony odrzucił jego prośbę o dymisję). Bastian może odejść z Bundeswehry — oświadczył minister — ale tylko pod warunkiem, że zrzeknie się „wszelkich praw nabytych w okresie jego służby państwowej”. Jeśli nie zrobi tego kroku, minister powierzy mu inną funkcję w szeregach Bundeswehry. Czasowo general został przeniesiony do jednostki wojskowej w Kolonii na stanowisko administracyjne. Jego nowemu przełożonemu polecono przemyśleć sprawę pociągnięcia go do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Dalsze losy generała-majora nie zostały określone.

Siły prawicowe w Bundestagu — komentuje obserwator „Spiegla” — rozwijają aktywną kampanię, zmierzającą do zastosowania dużo ostrzejszych sankcji wobec nieugiętego generała. Z inicjatywy frakcji CDU/CSU „sprawa” Bastiana ma być przedmiotem specjalnej debaty w Bundestagu. Sposób, w jaki min. Apel potraktował człowieka zajmującego stanowisko dowódcy dywizji, zaszokował nawet wyższych oficerów z otoczenia Apela, którzy bynajmniej nie podzielają poglądów gen. Bastiana. W odróżnieniu od większości przedstawicieli dowództwa Bundeswehry, Bastian, który brał udział w II wojnie światowej na froncie wschodnim, jest przekonany, że Związek Radziecki nie chce by go znów spustoszone, jak to miało już miejsce gdy napadły go wojska hitlerowskie, i daży, żeby do tego więcej nie dopuścić”.

(J. C.)



Kontynuując cykl spotkań pisarzy radzieckich z ich kolegami zagranicznymi „Literaturnaia Gazeta” opublikowała ostatnio zapis „biesiady literackiej”, w której wzięli udział Jewgienij Jewtuszenko i Julio Cortazar.

JEWTUSZENKO — Miałem okazję odwiedzić wiele krajów latynoamerykańskich. Sądzę, że pisarzy tego kontynentu łączy pewna wspólnota, obca na przykład twórcom Zachodu. Przede wszystkim nie dzieli was w zasadzie bariera językowa. To i wiele innych czynników może stać się w przyszłości zaczątkiem zjednoczenia krajów Ameryki Łacińskiej. Co o tym sądzisz, Julio?

JEWTUSZENKO -CORTAZAR

CORTAZAR — Nas rzeczywistość łączy o wiele więcej niż pisarzy innych krajów świata, ale jak sam się przekonasz, nie brak u nas ludzi nietolerancyjnych, wciąż polemizujących ze sobą, a co więcej — skłonnych do waśni i intryg. Nie jesteśmy, niestety, intelektualnym monolitem...

J. — Wobec tego powiedz mi, czy prawdziwie wielki pisarz może być reakcjonista, choć jego twórczość w zasadzie temu zaprzecza?

C. — Jakby ci tu odpowiedzieć...? Czy masz na myśli Borgeśa?

J. — Jego też, ale również i klasyków. Weźmy chociażby poezję Eliota. Jakże różni się ona od ideologicznej postawy autora, od jego publicznych wypowiedzi.

C. — Rozumiem. Moim zdaniem pisarze tego typu, co Borgeś są w pełni świadomi różnicy między swą twórczością, a swymi poglądami. Jakby nie dostrzegając ota-

Rząd, dysponując 42 głosami przewagi w parlamencie, batalię wygrał, wniosek opozycji został odrzucony. Mimo to — zdaniem niektórych komentatorów — trudności obecnego gabinetu wzrosną, a niepokój o skutki strategii gospodarczej konserwatystów powiększy się. Opozycja liczy natomiast na wygranie wyborów uzupełniających w dwóch okręgach i tym samym chce podważyć przekonanie o trwającej popularności rządzącej ekipy.

Dodajmy, że opublikowane właśnie w Londynie dane statystyczne wskazują, że liczba bezrobotnych powiększyła się do 6 proc. całej siły roboczej i ma dalsze tendencje wzrostowe. Oczekuje się, że szybko sięgnie liczby 2 mln osób pozostających bez pracy.

Trzecim krajem, o którym chcemy dziś pisać, są **STANY ZJEDNOCZONE**. Powodem jest przedstawienie budżetowej komisji senackiej przez ministra obrony — H. Browna założeń długofalowego programu zbrojeniowego. Program ten obejmuje lata 1981—85 i zakłada

TYDZIEŃ W POLITYCE

zwiększenie wydatków wojskowych o 25 proc. w wielkościach realnych, a więc po uwzględnieniu inflacji.

Brown podał, że w minionym roku wydatki wojskowe krajów NATO wynosiły 213 mld dolarów i że z sumy tej połowa przypadała na Stany Zjednoczone.

Opracowany przez Pentagon program przewiduje m. in. budowę 97 okrętów wojennych, co ma zapewnić USA dysponowanie najsilniejszą flotą pływającą po morzach świata. Szczególne zainteresowanie Waszyngtonu, co o minister nie ukrywał — kieruje się w stronę Azji Południowo-Wschodniej, Bliskiego Wschodu i rejonu Zatoki Perskiej, gdyż mają one ważne położenie strategiczne i dysponują znaczącymi zasobami surowców energetycznych. — Musimy — mówił — mieć możliwość szybkiego przerzucania w te rejon sił zbrojnych, gdy wymagać tego będzie obrona interesów amerykańskich...

Tak więc Waszyngton raz jeszcze potwierdził, że uzurpuje sobie prawo do ingerowania w wewnętrzne sprawy krajów w wymienionych regionach geograficznych, jeśli uzna, że jego interesy są tam zagrożone.

W. SŁAWSKI

czającej ich rzeczywistości piszą oni z myślą o przyszłych pokoleniach. Jest to bardzo poważny problem obecnie i u nas w Ameryce Łacińskiej. Mamy sporo pisarzy, którzy nie chcą uczestniczyć w walce swego narodu, uważając, że to nie należy do ich profesji.

J. — Jak dalece, twoim zdaniem, pisarz z prawdziwego zdarzenia może angażować się społecznie, brać na siebie obowiązki, kolidujące z jego właściwym powołaniem. Oto znakomity poeta z Nikaragui, nasz przyjaciel Ernesto Cardenal został ministrem kultury w swoim kraju. Czy nie bierziesz pod uwagę takiej ewentualności, że być może, Nikaragua zyskała dobrego ministra, a straciła wybitnego poetę?

C. — Jestem przekonany, że Cardenal da sobie z tym wszystkim radę. Ma on szczególny dar łączenia w swej twórczości wysokich walorów artystycznych z ostrą krytyką społeczno-polityczną, co widzimy na przykładzie jego wiersza „Modlitwa za Marilyn Monroe”. Jest to przepiękna poezja, a jednocześnie surowy rozrachunek z imperializmem, z całym ustrojem kapitalistycznym USA. Nie, on pisać nie przestanie, a nawet gdyby pisał mniej, służy szlachetnej sprawie. Powiem ci więcej. Nas, południowoamerykańskich pisarzy — patriotów nie stać na luksus wyłącznego zajmowania się własną twórczością. Czy myślisz, że ja wiele piszę? Jestem w ciągłych rozjazdach, uczestniczę w różnych kongresach i konferencjach, odpowiadam na setki kierowanych do mnie listów w najróżniejszych żywotnych dla ludzi sprawach, zajmuję się publicystyką. Mam czas tylko na krótkie opowiadania, które można pisać w kawiarni...

J. — Odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie. Czy literatura może wpływać na duchowe udoskonalenie ludzi czy też jej wysiłki są daremne?

C. — Nie podzielam optymizmu tych, którzy uważają literaturę za idealny środek wiodący do tego celu. To dawni romantycy uważali, że poezja może zmienić świat. Dziś czasy są inne. Żeby zmienić świat, nie wystarczy poezja — potrzebne jest działanie.

Zdobycie zimą Mount Everestu przez polską wyprawę wzbudziło zainteresowanie himalaizmem. Francuski dziennik „Le Monde” prezentuje historię i współczesność wypraw himalajskich oraz stosunek do himalaizmu władz Nepalu.

Góra Everest-Sagarmatha, jak zwa ją Nepalczy, aż do 1984 roku jest zarezerwowana dla wypraw japońskich, francuskich, amerykańskich i hiszpańskich, które otrzymały już odpowiednie zezwolenie od sekcji wspinaczki (mountaineering) nepalskiego ministerstwa turystyki. Jednakże „dach świata” nie jest jedyną atrakcją turystyczną w królestwie Nepalu. Każdego roku coraz więcej jest amatorów zorganizowanej turystyki wysokogórskiej (trekking), zwłaszcza z Francji, RFN i USA. W obliczu tego napływu rząd Nepalu zmuszony był zadekretować ścisłą reglamentację dostępu do łańcucha himalajskiego.

Od dawien dawna dostęp do najwyższych szczytów Nepalu jest sprawą o charakterze dyplomatycznym. O zorganizowaniu ekspedycji negocjowano zawsze na szczeblu państwowym, za pośrednictwem kanałów nepalskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Góry były monetą przetargową, bądź też nagrodą. Państwa z grupy krajów niezaangażowanych, do których zalicza się Nepal, nie miały większych trudności z uzyskaniem niezbędnych zezwoleń. A kiedy Korea Południowa zechciała zdobyć kilka szczytów, sprawę ułatwił program pomocy gospodarczej...

Narodził się zorganizowanej turystyki wysokogórskiej w latach 1960–1965 zburzył ten empiryzm. Przewodnicy francuscy, tacy jak Claude Jaccoud, Maurice Gicquel i Yves Polet-Villard, po powrocie z ekspedycji organizowali „trekking” dla żadnych przygód klientów. Udawano się na „małe” szczyty – 6000 m wysokości, które z reguły nie podlegały reżimowi zezwoleń. Wystarczyło, gdy organizatorzy zwracali się do nepalskich agencji trekkingowych, których zadaniem było formowanie grup turystycznych oraz dostarczanie kucharzy, tragarzy, przewodników, sirdarów. Od 1978 roku kontrolę nad dostępem do gór sprawuje ministerstwo turystyki, które wprowadziło zasadę podziału: do wysokości 5500 m rozciąga się strefa „trekkingu”, zaś powyżej – strefy wspinaczki (mountaineering).

Władze nepalskie są ostrożne z otwieraniem nowych tras „trekkingu”. Dopiero w 1977 roku udośćpiono rejon Mannangu usytuowany poza Annapurną. W pobliżu granicy chińskiej przez długi czas „trekking” zabroniony był w ogóle, ponieważ dalały tam zbrojne grupy nacjonalistów tybetańskich – Khamasów, zachęcane przez amerykańską CIA do starć granicznych z Chinczykami. Zaważyły też względy finansowe: warunkiem udośćpnienia rejonu Mannangu było zaistnienie tam posterunku policji, na który fundusze uzyskano dopiero w 1971 roku.

Turystyka wysokogórska narusza również poważnie bilans żywnościowy w rejonach najwyższych położonych, a więc najbardziej ubogich. W niektórych okolicach Nepalu środkowego, gdzie buszowały wyprawy wysokogórskie, armia nepalska musiała dostarczać żywności. Ponadto król Birendra jest bardzo czuły na zakłócenia ekologiczne powodowane niszczeniem drzewostanu przez grupy „trekkingowe”. Coraz częściej podnoszona jest sprawa zalecenia turystom posługiwania się gazem do gotowania posiłków,

aby zapobiec pustoszeniu lasów. Takie są powody utrzymywania systemu zezwoleń na „trekking”, bowiem system ten umożliwia kontrolowanie „wózków turystów”.

Jeśli chodzi o wspinaczkę, to różniła się wiele kategorii szczytów. Dla wspinaczki powyżej 8000 m nadal obowiązują negocjacje na szczeblu państwowym. W kategorii 8000–7000 m rząd domaga się, aby do wypraw zagranicznych dołączały grupy wspinaczy nepalskich. W kategorii 7000–5500 m zezwolenia wydawane są w zasadzie bez przeszkód. Niektóre szczyty są zabronione zawsze – ze względów bezpieczeństwa lub z powodów religijnych. Tak np. Macchapuchhar (6997 m) dominujący nad Pokharą jest szczytem dziewiczym, zaklasyfikowanym jako pomnik przyrody.

Oto, jak kierownik nepalskiej sekcji „mountaineeringu”, Shailendra Raj Sharma, przedstawia formalności niezbędne dla uzyskania zezwolenia na pokonanie jednego z 87 nepalskich szczytów dostępnych dla wypraw wysokogórskich (zwindycjonowanych jest 240 szczytów powyżej 7000 m):

— Wystarczy wnieść prośbę do ministra turystyki na termin nie zajęty przez jakąś inną wyprawę. Z reguły wniesione prośby zatwierdzone są w kolejności. Następnie należy nabyć upraw-

Tukce. Leczenie wspinaczka to rzecz kosztowna. W niektórych przypadkach wolimy także wyprawy mieszane. W 1980 roku Nepalczyki podejmuje próbę zdobycia Everestu wspólnie z wspinaczami włoskimi. Na szczyt Ganes-IV weszła wyprawa japońsko-nepalska, zaś na Garri-Sankar — amerykańsko-nepalska. Opłaty pobierane za małe szczyty zasilały kasę nepalskiego klubu wysokogórskiego.

Obserwuje się tendencję do zacierania granicy między „trekkingiem” a wspinaczką. W październiku 1979 roku turyści francuscy, wytreningowani tylko odrobinię lepiej niż przeciętnie, weszli na Czulu-West (6700 m). Ta ewolucja będzie trwała. Miejmy nadzieję, że władz publicznych Nepalu nie zaślepi blask dewizowej „Bożej mądry” i potrafią one zapewnić maksymalną ochronę swym górą oraz ich mieszkańcom. Byłoby godne ubolewania, gdyby okolice Everestu doznały — choćby lokalnie — takich szkód wyrządzanych przez tłumy, jakich doznały Mont Blanc i Alpy, np. jeśli Chinczyki przybyliby do Katmandu, by pobierać lekcje wspinaczki...

Himalaje fascynują alpinistów bardziej niż jakikolwiek masyw górski na świecie. 14 szczytów o wysokości ponad 8000 metrów zostało zdobytych w okresie między 1950 r. (Annapurna) a 1964 r. (Sziśza Pangma). A jednak amatorzy ze-

„Bogini matki ziemi”. Bernard Pierre, pisarz i alpinista (w 1953 roku był kierownikiem wyprawy, która jako pierwsza zdobyła szczyt Nun, jeden z najbardziej znanych himalajskich „śledmiotysięczników”) dowodził jednak, że ta przygoda nie dla wszystkich ma jednakowy smak. Od czasów heroicznej epoki alpinistów — eksploratorów, którzy wyposażeni w śmiechu warty sprzęt ruszali do szturmu na „siedziębnie śniegów”, stosowane były dwie strategie: rajd wojskowy bądź też korsarski abordaż.

Korsarzem był słynny Munnery, który w 1895 r. zginął na stokach Nanga Parbat, gdzie w towarzystwie pomocnika z plemienia Gurków wytyczał trasę alpinistyczną na stronie północno-zachodniej. Korsarzem był Brytyjczyk, Maurice Wilson, który w 1934 roku zaatakował północną przełęcz Everestu, mając za cel wyposażenie następującą teorię: Gdy człowiek gładzi przez trzy tygodnie, osiąga stan półświatłości między życiem a śmiercią. Po tamtej stronie człowiek jest czysty jak nowo narodzony, lecz bogaty swym poprzednim życiem, swymi walorami fizycznymi i duchowymi. Ciało Wilsona zostało odnalezione następnego roku przez grupę Anglików.

Charakter rajdu wojskowego miały zwycięskie ekspedycje przeciw „ośmiotysięcznikom”, pierwszy bastion — Annapurna — padł pod atakiem Francuzów, Herzoga i Lachenala: „dach świata” — Everest został podbity przez Hillary’ego i Tensinga, którymi dowodził pułkownik Hunt. A później już całe królestwo było zdobywane przy użyciu tej samej taktyki: kolumna tragarzy, obóz-baza, praca Sierpów, kolejne obozy na dużych wysokościach, atak końcowy.

Z biegiem czasu przygoda stopniowo staje się coraz bardziej wymyślna: nie wystarczy zdobyć szczyt, lecz trzeba to zrobić trasą jak najbardziej zbliżoną do linii prostej, łączącej podstawę góry z jej wierzchołkiem. Jest to stosunkowo łatwe w Alpach, natomiast powyżej 4000 m staje się sprawą nad miarę trudną. Jednakże wyprawa Chrisa Bonningtona tak właśnie postąpiła w 1970 roku, torując jako pierwszą trasę na południowej stronie Annapurny. W 1971 r. Francuz, Roger Paragot, dokonał podobnego wyczynu, pokonując zachodnią stronę Everestu, gdzie trzeba pokonać 2000 m pionowej ściany.

Owego roku himalaistka zmieniła ostatecznie swe oblicze. Na szczycie Everestu pojawiły się kolejno dwie kobiety: Japonka — Junko Tabei oraz Tybetanka — Phantog. Przede wszystkim zaś w masowej zaczęły buszować nowe „korsarze”. Reinhold Messner, urodzony w 1944 roku w południowym Tyrolu, zrewolucjonizował alpinizm przygotowując się do wspinaczki z systematycznością atlety, który chce osiągnąć najwyższą sprawność. Jako pierwszy zdobył on więcej niż trzy „ośmiotysięczniki” i w 1978 r. również jako pierwszy osiągnął szczyt Everestu bez aparatu tlenowego. Narodziła się nowa forma himalaistyki — pisał w związku z tym Bernard Pierre. Jeszcze przed końcem tego dziesięciolecia zawrotny strumień himalajskich stoków stały się widownią wyczynów narciarskich. 30 lat po sukcesie Herzoga i Lachenala, Yves Monin zjechał na nartach ze szczytu Annapurny, lecz poniósł śmierć, zawieszony na linie, która zaklinowała się w trudnym przejściu. Kilka dni później, Sylvain Saudan i jego towarzysze Marie Josée Valencot doznali ciekawych odmrożeń pojmując próbę na Dhaulagiri.

(„LE MONDE”)

TURYŚCI NA „DACHU ŚWIATA”

nięcia oraz pokryć koszt przydzielenia obowiązku oficera łącznikowego (35 rupii dziennie). Everest kosztuje 15 tys. rupii, inne szczyty powyżej 8000 m — 14 tys. rupii, szczyty w kategorii 8000–7500 m — 12 tys. rupii, poniżej 7500 m — 10 tys. rupii.

Najbardziej poszukiwane szczyty to kolejno: Everest, Dhaulagiri, Ama-Dablam i Annapurna.

W sezonie 1979–1980 wypraw na szczyty powyżej 7000 m było: jesienią — 23, zimą — 3 i wiosną — ok. 30. Najliczniejsi byli Japończycy, a dalej — Hiszpanie, Brytyjczycy, Francuzi i Polacy. Najkosztowniejszą wyprawą (10 mln rupii) na Everest była 73-osobowa wyprawa włoska w 1973 roku, która zakończyła się fiaskiem. Najtańszą (150 tys. rupii) — 4-osobowa wyprawa angielska w 1979 roku, również zakończona fiaskiem.

— Udośćpniłbym maksymalną liczbę szczytów — wyjaśnia Raj Sharma. — Musimy jednak działać ostrożnie. Trzeba uwzględnić drażliwość tutejszych mieszkańców. Niektórym nie podobało się wydanie zezwoleń na Ama-Dablam (6856 m). Niezbędne jest spełnienie równocześnie wszystkich warunków — bezpieczeństwa, doświadczenia, intendentury.

Czy Nepalczyki będą rezerwować dla siebie niektóre trasy? Nie wydaje się, aby sprawa zmierzała w tym kierunku.

— Otworzyliśmy w Mannangu szkołę alpinistyczną — mówi Raj Sharma — której kadre stanowić będą trzej Jugosłowianie. We wrześniu każdego roku ośrodek ten przyjmować będzie ok. 20 uczniów, którzy po odbyciu stażu otrzymają dyplomy. Nepalczyki są bardzo pojętni. Zdobyli już wiele renomowanych szczytów liczących ponad 7000 m, jak np. Kaondge czy

zwoleń na dotknięcie stopą szczytów „dachu świata” tłoczą się nieustannie.

Na okres wiosny 1980 r. rząd Nepalu, który włada najpiękniejszym zespołem szczytów górskich, udzielił zezwoleń 34 wyprawom. Najwięcej — bo siedem ekspedycji — przysłał Japonia. Przybędą trzy wyprawy niemieckie, po dwie — hiszpańskie, amerykańskie, szwajcarskie i południowokoreańskie. Ekipa francuska pod kierownictwem dra Nicolasa Jaegera podejmie próbę zdobycia czwartego szczytu świata — Lhotse (8511 m). Jaeger, który towarzyszył Pierre Maheuowi na Everest w 1978 r. i pobli rekord przebywania na jego szczycie (95 minut), pokusił się wraz z zespołem pięciu wspinaczy o wejście bez użycia tleniu na Lhotse od południowej strony tej piramidy, mając do pokonania 3200 m litego masywu omiawanego przez lawiny.

Himalaje są przedmiotem tak silnych pożądań i takiej konkurencji między wyprawami, że niektórzy nie wahają się przed łamaniem zakazów. Tak np. pięciu Europejczykom zabroniono wstępu do Nepalu przez 5 lat za to, że bez zezwolenia zaatakowali szczyt Czo Oju (8154 m) zdobyty po raz pierwszy przez Austriaków w 1954 r. lecz od 1960 r. objęty zakazem. Góry mają bowiem smak zakazanego owocu.

Na pytanie, po co to wszystko?, odpowiedziało już bardzo trafnie: ponieważ istnieją góry. Czy jednak dotyczy to także niewidomego Anglika, Mike’a Telleya, który w listopadzie ub. roku dotarł na wysokość 6000 m na stokach Everestu? Obracamy się tu w sferze przygody, której końca nie można przewidzieć, ani nawet pojąć — jak mówi Mallory, w czerwcu 1924 r. razem z Irvinem poniósł on śmierć w odległości kilkuset metrów od szczytu Czomolungmy —

16 lutego 1980 r. krótkotrwale, lecz rozległe zaćmienie Słońca objęło znaczne rejon Afryki i Azji. Specjalny wysłannik dziennika „Le Monde” Patrick Frances obserwował to zjawisko w indyjskim mieście Kurukszetr. Oto jego relacja.

Od Zatoki Gwinejskiej aż po serce Chin, poprzez Zair, Tanzanię, Kenię, Ocean Indyjski i Indie, zaćmienie Słońca pograżyło w sobotę 16 lutego mieszkańców tych rejonów w częściowej ciemności. Zjawisko było widzialne przez zaledwie kilka minut, zaś zaćmienie było całkowite tylko w liczącej 200–300 kilometrów trefie między Seszelaми a wybrzeżem somalijskim. Tysiące naukow-

Nie nie może lepiej, niż to ogłoszenie na pół kolumny, opublikowane w „Indian Express” 13 lutego przez Kurukszetrą Development Board, pokazać cudzoziemcom, że w Indiach praktyki religijne nie zostały nigdy oddzielone od reszty życia, że żadna święta działalność nie jest przeciwstawiona działalności świeckiej. Sacrum obejmuje wszystkie rzeczy i przenika wszelkie działania.

W odległości 150 km na północ od Delhi znajduje się miasteczko Kurukszetr. Gdzieś w dolinie Gangesu dwa sztuczne zbiorniki wodne, do których, podobnie jak do wszystkich innych, w sobotę 16 lutego zdawały się prowadzić wszystkie drogi.

„Targi Zaćmienia Słońca — 80” — głosiły wielkie napisy wzdłuż drogi.

co było związane ze świętem. Zaszczepiono całą ludność przeciwko cholercie. Zabito tysiące bezpańskich psów i około 900 wózków, nie mówiąc o szczeniach, muchach i innych owadach. Zainstalowano 1.100 punktów z bieżącą wodą oraz tysiące latryn.

Przy okazji dokonano kilka cudów. Podczas kiedy Indie północne cierpią obecnie na dotkliwy brak benzyny, to Kurukszetrą była w nią obficie zaopatrzona. W kraju, w którym telefon jest raczej niespotykany, wyposażono namiot prasowy w telex połączony bezpośrednio z Chandigarh, nie uniknięto jednak tradycyjnych przerw w dostawie prądu. Policja używała krótkofalówek oraz telewizji wewnętrznej. Taką jest Kurukszetrą świecka.

Ta druga, to jedna z indyjskich ziem świętych, cała przeniknięta wspomnieniami legendarnych walk opowiedzianych w Mahabharacie, jednym z wielkich tekstów hinduizmu. To wyjątkowo dla tego miasta przyciąga każdego roku dziesiątki tysięcy pielgrzymów, którzy przybywają, żeby z jednej strony celebrować w różnych sanktuariach rytuał „puźa”, kult bóstw (składa się im o fiary z kwiatów i żywności oraz retytyje się święte teksty), a z drugiej strony, żeby wykopać się w świętych wodach dwóch basenów, których zalety są zdziśięciokrotnie w dniu zaćmienia Słońca.

TRZY KAPIELE RYTUALNE

Tego dnia każdy pielgrzym musi wziąć co najmniej trzy kąpiele. Pierwsza w Sannihit Sarovar, uważanym za miejsce święte świętych. „Kąpiel wzięta tutaj w chwili zaćmienia Słońca — głosi legenda — o czystości was ze wszystkich waszych przeszłych grzechów”. Druga, kąpiel metrów dalej w Brahma Sarovar, nastrojowym i majestatycznym basenie o wymiarach 1500 x 800 metrów, z dobrze zagospodarowanymi wysokimi brzegami i ze specjalnymi pomieszczeniami dla kobiet, by ukryć je przed ciekawością tłumu. Wzdłuż brzegów pływa barka motorowa. Ma ona za zadanie czuwać nad bezpieczeństwem kąpielących się, ale znajduje się na niej i operator z kamerą, bowiem całe wydarzenie jest transmitowane na żywo na cały kraj. Nad basenem, na półwyspie,

świątynia Sziwy. Panuje tam nieopisany tłok. Na bramie napis: „Uwaga na złodziei kieszonkowych”.

Po zakończeniu zaćmienia następuje powrót do Sannihit na obowiązkową ostatnią kąpiel. Ludzie tłoczą się tam, niekiedy w 25 rzędach, w oczekiwaniu chwili, gdy zanurzą swoje ciała w świętej wodzie i będą mogli w ten sposób zapewnić zbawienie swoim przodkom, pokój światowy, jak też zabezpieczyć się przed ewentualnymi klęskami naturalnymi, jakie mogą nadejść po zaćmieniu.

Wszystko to warte jest oczywiście trudów podróży. Dlatego też w sobotę oczekiwano w Kurukszetrą od dwóch do dwóch i pół miliona pielgrzymów. Przybyło ich, jak się wydaje, około półtora miliona, jeśli można policzyć również wielki i ruchliwy tłum. Tym bardziej podkreślono obecność ministra spraw wewnętrznych, gubernatora Pendżabu, speakera izby niższej (Lok Sabha) parlamentu, premiera Hariana i wielu członków jego gabinetu. Nieco rozczarowani organizatorzy skarżyli się na ogólnokrajową kampanię informacyjną, która podkreślała niebezpieczeństwa związane z zaćmieniem, odstraszała wielu pielgrzymów.

Niektórzy z pielgrzymów byli rozczarowani. Ci, którzy nie wiedząc, że miejsce jest dość odległe od rejonu całkowitego zaćmienia, spodziewali się podziwiać czarne Słońce i gwiazdy w środku południa, na niebie opuszczonym przez płaki, musieli natem pogodzić się z rzeczywistością: Słońce jaśniało na niebie bez gwiazd. Wiza świecka... bowiem prawie wszyscy tutaj wiedzieli, że tam wysoko nad ich głowami Słońce jest pożerane przez demony Rahu i Ketu. Każdy więc uaktywniał się wiedzając, że jego modły mogą skrócić męki boga Słońca, przyspieszając jego uwolnienie.

Uaktywnili się również kapłani. „Zaćmienie to jest błogosławieństwem dla ludzkości — wyjaśniał jeden z nich pozostający na miejscu od 10 dni. — Jedyne wyjście to „puźa” i jałmużna; jestem tu, żeby praktykować pierwszą i przyjmować drugą”. Pewien kapłan powiedział ostatnio przedstawicielowi jednego z dzienników, że zebrał ponad 21 tys. rupii podczas poprzedniego zaćmienia w 1976 roku...

Tysiące, dziesiątki tysięcy żebraków zajęło miejsca po obu stronach dróg i drózek prowadzących do basenów. Rozstawione niemal wszędzie głosińki przypominały pielgrzymom, że wszystkie jałmużny dane tego dnia zwiększają trzydziestokrotnie szansę dawcy na dostanie się do raju. Mówiono też, że w przyszłym życiu (wiarą w reinkarnację — red.) dawca otrzyma jedenaście razy więcej niż podarował tego dnia. Nie więc dziwnego, że — jak napisał na załączniku pewien dziennikarz indyjski — miało się wrażenie, iż wszyscy żebracy z kraju wyznaczali sobie spotkanie w Kurukszetrą. Wyneśli, przede wszystkim zaś kalecy, wystawiali swoje rany, kikuty i najokropniejsze zniesławienia, domagając się zapłaty za swoje nieśczęście. „Jesteśmy ślepi, dajcie nam trochę pieniędzy” — wyspiewywali trzej bocykowi usadowieni pośrodku drogi. Dziecko — szkielecek, upstrzone na niebiesko, żebrze z dzwonczkiem w dłoni, popychane przez tłum, zjawia w ludzkim ciele stercząca z daleka przez dorosłego, widokowo trudne do zniesienia, zaś w tym miejscu cudów dzieci są najbardziej uległymi aktorami.

— Co pan myśli o tej całej nędzy wokół nas?

Pytanie prześliznęło się po pięknej i niewzruszonej twarzy młodego Hindusa studiującego w Delhi sanskryt i zamierzającego poświęcić się kapłaństwu.

— Jeśli ci ludzie są biedni i cierpią, to dlatego, że bez wapienia porzucili w poprzednim życiu religię. Jedynym wyjściem dla nich jest powrócić do wiary i religii. Tylko w ten sposób ich problemy zostaną rozwiązane.

— Czy działalność polityczna nie może dla nich nic zrobić?

— Polityka nie może w żadnym wypadku zapewnić zbawienia. Są to tylko obietnice bez pokrycia.

— Czy kocha pan życie?

— Tak, chcę żyć, przede wszystkim po to, żeby się modlić.

U podnóża świątyni trwa wielkie rojowisko. Każdy realizuje tu po swojemu „własny sposób bycia we wszechświecie”, przeżywa w oczekiwaniu zapłaty za urodzenie się. to znaczy na rozpiętnięcie się w absolutie.

KIEDY DEMONY POŻERAŁY SŁOŃCE

ców europejskich, japońskich i amerykańskich wyznaczyli sobie spotkanie w Kenii i w Indiach, żeby obserwować tam Słońce i badać wpływ zaćmienia na zachowanie zwierząt. Ich doświadczenia, powtórzone również przez naukowców ze wszystkich krajów na trasie zaćmienia, zostały uzupełnione wystrzeżeniem sond amerykańskich i indyjskich.

KURUKSZETRA

„Witamy wszystkich. Pod szczególną wróżbą zaćmienia słonecznego 16 lutego 1980 roku przybędzie wzięć świętą kąpiel w Kurukszetrą, na świętej ziemi Mahabharaty, tam, gdzie Kriszna przekazał swoje nieśmiertelne posłanie Bhagavad Gita. Teraz jest tu święty basen Brahmarsar, największy w Azji, odnowiony kosztem dziesiątków milionów rupii. Wszystko będzie przygotowane dla przyjemności pielgrzymów, którzy wezmą udział w święcie zaćmienia Słońca”.

Na szosie tłum, którym kieruje zadziwiająco sprawną służbę porządkową, przyspiesza kroku. Do służby porządkowej zmobilizowano około 15 tys. ludzi. Miasto, jak magnes, przyciąga na odległe parkingi wszystkie zbliżające się samochody. Nasz używał forteli i sztuczek, zanim poniósł porażkę i wessany przez pospólstwo padł obok miejscowego dworca, o kilkaset metrów od głównego basenu. Wszędzie namioty (miasto nie ma żadnych pomieszczeń hotelowych), w których się żyje, śpi, śpiewa lub modli. Każdy guru ma swój namiot, a w nim zgromadzeni są jego uczniowie. Wynajęcie dwuosobowego namiotu kosztuje 50 rupii na dobę, a samo wejście do miasta — pół rupii.

SERIA CUDÓW

Wszystkie szkoły w Kurukszetrą zostały zamknięte na 10 dni, zaś urzędnicy zajmowali się tylko tym,

Zdumiewa mnie nieraz jak się przedziwnie zmienia nasze odczucie młodości i starości. Stawka na młodość! Bardzo to słuszone hasło, chociaż stawka na młodość istniała zawsze. Natomiast jeśli mi ktoś zbyt nachalnie woła o stawce na młodość — to mogę się założyć, że stare byki drżą o swoje stolki.

Jako że od lat szperam w literackich starościach — pozwólcie, że przypomnę jak to drzewiej bywało z młodością. Drzewiej, czyli wówczas, gdy — podobno — nie było „stawki na młodość”.

Jan Lechoń wydał swój znaczący debiutancki tomik „Karmazynowy poemat” w wieku lat 21. Nie wspominam już o tym, że Lechoń przed „Karmazynowym poematem” opublikował dwa zeszyty wierszy młodszych w wieku lat... czterdziestu.

Dzisiejsi debiutanci dochodzą do pierwszej książki gdzieś około trzydziestki. Powie ktoś, że nie są tak gemałni jak Lechoń? A któż to może wiedzieć dziś? A któż mógł zagwarantować w roku 1913, że uczeń warszawskiego gimnazjum Emiliana Konopczyńskiego, 14-letni Leszek Serafinowicz — zostanie po latach genialnym poetą?

Tym, którzy nie czytali ówczesnych młodszych wierszy — zalecam, że wcale one na

przyszły talent Lechonia nie wskazywały. Były idealnie wtórne i banalne. A jednak...

„Co jednak?” — zapytacie. Otóż to, że taki tomik wierszy mógł wydać absolutnie każdy zdolny uczeń każdego gimnazjum w Polsce — nie tylko w Warszawie. My dziś pamiętamy

redaktora naczelnego w wieku lat dwudziestu paru.

Dziś nawet pismami młodzieżowymi kierują czterdziestolatkowie (w najlepszym wypadku).

Skoro już jesteśmy przy redaktorach. Wybitny polski dziennikarz socjalistyczny Zbigniew Mitzner — późniejszy

młodo zaczęli coś znaczyć, młodo — niestety — umierali, ale pozostawiona przez nich spuścizna liczy się w dziesiątki tomów.

Przykład z innego kręgu. Czechow zmarł w wieku lat 44 — co może dziwić, bo wszystkie zdjęcia przedstawiają go jako staruszkę. Debiutował w wieku lat 20 — więc na twórczość, studia medyczne, praktykę lekarską i podróże — miał 24 lata. Obecnie w Moskwie ukazują się dzieła zebrane Antoniego Czechowa, które liczyć będą 30 tomów prozy.

Wyobraźcie sobie! Ten schorowany lekarz opublikował w swoim krótkim życiu taki ogrom tekstów. To, że napisał — nie dziwi, był to bowiem geniusz literacki. Ale to, że opublikował, że znalazł wydawcę, redaktora, papier, moce przerobowe, klej potrzebny do klejenia książek, teatry, w których wystawiał, reżyserów, którzy sami nie pisali... Bez poparcia bez układow, bez chodów — ten wnuk pańszczyźnianego chłopca w carskiej Rosji potrafił opublikować taki ogrom prozy!

Wróćmy do Łodzi — do Konfrontacji Artystycznej, do Kół Młodych (literackich i plastycznych), do owej stawki na młodość i popatrzmy na nią także pod tym kątem.

WIDOK

RYSZARD KUBA GRZYBOWSKI



„Jak się bawić?”
Gołą pannę
Z czajnikiem zestawień!

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

AKCJA „AFRYKA”

Nasza reprezentacja w Lake Placid spisała się zgodnie z oczekiwaniami i nie można mieć do poszczególnych zawodników pretensji, takich bowiem mamy reprezentantów, jaki sport zimowy. Natomiast nasi lekkoatleci w Halowych Mistrzostwach Lekkoatletycznych Europy spisali się powyżej oczekiwań, czym sprawili nam wielką przyjemność. Posypało się złoto, srebro, brąz, oraz rekordy Kobiet przodowały. Tomasz Hofer skłonił do przed kamerami telewizyjnymi, że utrafił z formą w dziesiątkę. Oby tak było też na Olimpiadzie w Moskwie.

Nasi piłkarze w tym czasie podróżowali po północnej Afryce. I co nadeszła wiadomość z trasy ich afrykańskiej podróży, to kibiców pusty śmiech ogarnął. Nie mogli sobie poradzić z wieścią, że najniższym przeciwnikiem, bo im albo silne słońce przeszkadzało, albo deszcz. Przed wyjazdem naszej reprezentacji do północy, Afryki przypominano na wszelki wypadek, że niejedną już silną drużyną miała tam kłopoty. I dobrze przewidziano. Nasi też mieli kłopoty i to jakie jeszcze.

Na wszelki wypadek — jak to zresztą słusznie zauważył Józef Lipiec w krakowskim „Temple” — naszą reprezentację przemianowano na „Polska B”, bo to zawsze ładniej będzie brzmiało, kiedy napisze się, że „Polska B” przegrała lub zremisowała z reprezentacją Maroka czy Iraku. Wśród najniższych drużyn świata ani reprezentacja Maroka, ani reprezentacja Iraku nie dały się jakoś zauważyć.

Sława marokańskiej piłki nożnej jest podobnie przebrzmiała jak i naszej. Maroko wygrało eliminacje w swojej grupie w czasie IX Mistrzostw Świata, które odbyły się w 1970 roku w Meksyku. Piłkarze marokańscy zajęli w eliminacjach finałowych 4 miejsce, ale z drużyną RFN przegrali tylko 1:2, a z Bułgariami zremisowali. Do Monachium już nie pojechali, do Argentyny również. Irak startował w eliminacjach do X Mistrzostw Świata w 1974 roku, a z eliminacji do XI MŚ wycofał się. Ot i cała prawda o naszych afrykańskich i azjatyckich przeciwnikach.

Piłkarze nasi zaczęli ten rok nie najlepiej. Wielokrotnie już wspomniano, że nie można lekceważyć międzypaństwowych spotkań, tylko dlatego, że występują one między któryś eliminacjami i są podporządkowane „wyższemu celowi”. Piłka nożna powinna się rozwijać równomiernie i systematycznie, a nie tylko od akcji do akcji. Była akcja „Argentyna”, później akcja „Mistrzostwa Europy”, akcja „Olimpiada”. Żadna się nie udała. Teraz mielibyśmy akcję „Afryka”, która jest częścią planu akcji „Hiszpania”. Ale zaczęło się to wszystko pod zdechłym Azorkiem i oby tak się nie skończyło.

Naszym „be-reprezentantom” przyszło grać w Marakechu tuż po południu, kiedy każdy przyzwyczajony Marokańczyk wyleguje się w cień palmy albo w klimatyzowanym bungalowie. Sprytni Marokańczycy postanowili zażyć przybywów z zimnej Polski — jak to się u nas mówi — z mańki i wybrali termin spotkania w najgorszym dla nas czasie. Nikt nie zaprotestował? Czyżby kierownictwo polskiej ekipy nie wiedziało o warunkach jakie panują w tym klimacie? Czy to może być szczyt naszej piłkarskiej dyplomacji?

Dyplomatomów w PZPN mamy bowiem znakomitych. Jak wiadomo w eliminacjach do MŚ w 1982 roku mamy za przeciwników drużynę NRD, której bardzo się boimy, a także drużynę Malty, której się nie boimy. W związku z tym nasi dyplomaci od piłki nożnej umyślnie sobie, żeby jeden mecz z Maltą grać na koniec eliminacji, bo jeśli będziemy mieli taką samą ilość punktów z NRD, to decydować będą bramki i nasi wspaniali chłopcy nakopali Maltańczykom ile wlezie. Dlatego PZPN zgodził się, aby pierwszy mecz z Maltą rozegrać w... lutym 1981 roku. Jakby nie wiedzieli, że w tym czasie nasi wspaniali chłopcy są bez formy, po trudach, jeń, przed trudami wiosny; że odpoczywają, rozbijają się samolotami, prowadzą życie na luzie, co daje o sobie znać z początkiem każdego wiosennego sezonu, kiedy musi minąć kilka meczów, aby złapać formę. A tak gra reprezentacja, jak gra liga. Tak też strzela bramki. Już raz mieli nasi chłopcy nakopać Islandczykom. Skończyło się to załóżnic. Byliśmy szczęśliwi, że w ogóle nie przegraliśmy.

Przeistniały się oszukiwać. Zaczniemy patrzeć i mówić realnie o naszej piłce nożnej, która znalazła się w sytuacji bardzo krytycznej i potrzeba dużo starań, aby mogła wypłynąć z tego głębokiego dna. Za kilka dni pierwsze mecze ligowe kolejki wiosennego sezonu pokażą znów, ile to drużyn startuje bez formy.

CWIĘK

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Ktoś rozsądny doszedł do wniosku, że od pisania o papierze papieru nie przybywa. Wręcz przeciwnie. Ubywa. I nie ma na to rady. Papier jest potrzebny. Szczególnie ten do druku. Na gazety i książki. W naszej cywilizacji istnieje ścisła zależność między wielkością produkcji papieru do druku, wydajnością poligrafii i rozwojem kultury i ta zależność zwiększa się mimo istnienia i rozwoju telewizji. Uważam, że nawet rozwój telewizji kasetowej, kiedy każdy będzie mógł sobie wypożyczyć kasetę lub ją kupić i odtwarzać w domu nieskończoną ilość razy, nie zmieni pozycji i znaczenia książki i czasopiśm w rozwoju kultury. Na udowodnienie tej tezy zużyto już znaczne ilości papieru i farby drukarskiej.

Wyraźnie wyróżniam papier do druku, bowiem nie wszystko, co nazywa się papierem nadaje się do druku. Zresztą wystarczy sięgnąć do „Rocznika statystycznego 1979”, aby zorientować się w czym rzecz, gdzie leży źródło naszych trudności z papierem. W latach 1970-1978 produkcja papieru wzrosła z 761 tysięcy ton do 1066 tysięcy ton. Ale produkcja papieru gazetowego utrzymała się w zasadzie na tym samym poziomie. W 1970 roku produkowaliśmy 88 tysięcy ton papieru gazetowego, w 1978 — 89 tysięcy ton. Z tym, że w 1973 roku produkcja papieru gazetowego wynosiła 83 tys. ton. Również produkcja papieru do druku wzrosła nieznacznie. W 1970 roku produkowaliśmy tego papieru 108 tysięcy ton, w 1978 roku — 127 tysięcy ton. Ale w 1977 roku produkcja papieru do druku wyniosła 137 tysięcy ton.

Przypominam te dane między innymi dlatego, że wszelkie zdziwienie, iż przemysł ciężki otrzymuje duże przydziały papieru są tak długo irracjonalne, jak długo nie otrzymamy odpowiedzi na pytanie: jakiego papieru? Na papierze do pakowania i przemysłowo-technicznym książek i gazet u nas na szczęście się nie drukuje. Ktoś nawet

zlekceważył takie zastrzeżenie i doszedł do wniosku, że skoro surowiec wyjściowy do produkcji papieru jest ten sam, to w czym kłopot. Można zamiast papieru do pakowania produkować papier do druku. Niezupełnie. Technologia jest inna. Inne maszyny.

NA PAPIERZE O PAPIERZE

A więc, jeżeli już wołamy o oszczędność papieru, a jest to hasło bezwzględnie słuszne, to dla rozwoju kultury ważna jest oszczędność papieru gazetowego i do druku. Jeśli ten papier się marnuje, a marnuje się, niestety, to jest to z punktu widzenia kultury szkodzi. Jak do tej pory nikt nie wymyślił nic takiego, czym można byłoby skutecznie zastąpić papier.

Chociaż to nie jest takie ścisłe. Otóż właśnie specjaliści z Politechniki Warszawskiej wynaleźli coś takiego i opatentowali. Jest to materiał, który znakomicie łączy w sobie zalety papieru i tworzywa sztucznego. Można na nim drukować z obu stron, jest odporny na wilgoć, farby drukarskie nie zmyje się ani wodą, ani rozpuszczalnikami. Druk na tym materiale jest więc trwały. Natomiast każdy napis zrobiony zwykłym ołówkiem można łatwo zetrzeć gumką.

LEWYM OKIEM

Było nie było — ja też napię raz o święcie kobiet. Napię się przy tym nielicho, albowiem — co wolę z góry powiedzieć — strasznie nie lubię tego święta. Wydaje mi się, że gdybym był kobietą, zważyłbym że wszystkich sił sam nawet pomyśli takiego dnia jako śmieszny i uwielbiamy. Za bardzo mi on przypomina Dzień Dobroci dla Zwierząt, Dzień Ochrony Środowiska i Dzień Gołębia Poczтового.

Kobiety stanowią więcej niż połowę ludności. Czy to nie groteskowe — czcić specjalnym świętem co drugiego człowieka, chodzącego po ziemi? Za to, że się urodził kobietą? Ale już nawet mniejsza z tym. Laureatkami tej uroczystości mają być przede wszystkim kobiety pracujące, praca zawodowa ma być tytułem składanych hołdów, bo innym tytułom poświęca się oddzielne święta: Dzień Matki, Dzień Babci. A przecież istnieje mnóstwo zakładów i środowisk, w których nie połowę, lecz ogromną większość stanowią kobiety. W takim zakładzie dziesięciu zdominowanych panów ma dawać kwiatki i czcić radośnie z przykryciem pięćset pań, uśmiechając się słonecznie nie wiadomo dlaczego do osób prawie lub wcale nieznanym, udawać pięćset razy szczęśliwego z możliwością wręczenia kwiatka — a skąd te

kwiatki brać? Każdy pan ma przecież tych kilka czy kilkanaście swoich kobiet: żony, córki, przyjaciółki, ciotki, sąsiadki, krewne — z czego wynikałoby, że każda z osiemnastu milionów niewiast powinna otrzymać kwiaty od kilkunastu ryce-

scu pracy, lecz także w iluż to zrużkach, toastach, brudziach i lampkach wina! Dowcipów na ten temat było już mnóstwo, a jak się o ich materii pomyśli, to i śmiać się niełatwo.

Nasza polska rycerskość w stosunku do niewiast znana jest

DWIEŚCIE MILIONÓW WIĄZANEK

rzy: dwieście milionów więzannek! Jednego dnia Masowa rzeź zieleni, kosmiczna wyprzedaż, odpust, karnawał — i kosmiczny byznes. Praca nie klei się od rana. Panie w nowych bluzeczkach szykują kanapki, a zresztą w ich święto nie wypada od nich wymagać; panowie stoją godzinami w kolejkach po tulipana. Już nie mówię o powrotach do domów panów, którzy przecież musieli, dosłownie musieli uczestniczyć nie tylko w nieskończonych całunach rączkach w mie-

szero ko po świecie i kobiety zagraniczne zadrószcza niekiedy naszymi rodzaczkom. U nas nie zobaczy się nigdy, by staruszka lub młoda kobieta podawała w szatni palto swemu towarzyszowi, co jest nader częstym obrazkiem w Niemczech, Austrii, Skandynawii. U nas wręcz się panom bukiety na imieniny, na urodziny, z okazji rocznicy ślubu, rozvodu, odnalezienia, wyzdrowienia i zachorowania, przy powitaniu i przy pożegnaniu. Za każdym razem jest po temu jakiś doraźny, in-

